

”

Seria Masek powstawała w czasie izolacji (...) to dialog urojony z artystami i ich dziełami!

”

PROF. DR HAB. IRENEUSZ DOMAGAŁA

UNIwersYTET ARTYSTYCZNY W POZNANIU,

WYDZIAŁ ARCHITEKTURY WNĘTRZ I SCENOGRAFII

– AUTOR SERII MASEK





ATELIER GRACE WYCHOWANSKA

Noordeinde 47 d
2514 GC Den Haag
Mob. 06 13 57 82 70

Vertegenwoordigd door:
Galerie Bos Fine Art Den
Haag
Korte Vijverberg 2
2513 AB Den Haag



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

Wzłych i dobrych chwilach jesteśmy z naszymi Czytelnikami. Wierzę, że po zatrzymaniu oddechu świat powoli wraca do życia. Ten numer powstawał kilka miesięcy. Widać w treści artykułów jego (coronawirusa) obecność... nie sposób nie odnieść się do tego, co sparaliżowało nasze życie na długie miesiące. Z pewnością, niektórych Państwo zaskoczy okładka z Maskami, tak jak one zaskoczyły mnie i nadal zaskakują. Gdy zobaczyłam pierwszą Maskę na początku epidemii, będąc sama na obowiązkowej kwarantannie, po przyjeździe w marcu do Polski, nosząc szyte przez przyjaciół maski ochronne, miałam mieszane uczucia. Potem czekałam na następne Maski artyści nie mogą się od nich oderwać. Nabrałam pewności, że muszą Państwo to zobaczyć na okładce Sceny Polskiej. Ich twórca, profesor Ireneusz Domagała zaprasza Państwa do zapoznania się ze swoją pracą twórczą i dydaktyczną. Nie możemy spotykać się jeszcze w teatrze, więc zajrzyjmy za jego kulisy (s 4-5).

Łatwiej niż z brakiem przeżycia spektaklu na żywo w teatrze, jest może pogodzić się z oglądaniem filmów na małym ekranie, ale i tak nic nie zastąpi przeżyć i atmosfery na festiwalach filmowych. Trzeba poczekać...

No właśnie, trzeba nam teraz cierpliwości i zrozumienia. Refleksjami z przeżytej kwarantanny dzieli się z nami Eugeniusz Brzeziński (s.8), a Nicolas Schroten, lekarz specjalista leczący pacjentów na oddziale intensywnej terapii w holenderskim szpitalu, dzieli się z Państwem przemysleniami z pierwszej linii frontu. (s.9).

Marek Orzechowski opisuje swoje przeżycia w czasie izolacji w Brukseli (s.10).

W jakim teraz jest nastroju i jakim interesującym reportażem się z nami znów podzieli dowiemy się w następnym wydaniu Sceny Polskiej.

Nasi kolejni autorzy mieszkają w Niderlandach, Belgii, Australii, Szwecji, Francji, Stanach Zjednoczonych i w Polsce. Nasi Czytelnicy w większości mieszkają w Ho-

landii i w Polsce, ale Scena Polska w formie wirtualnej dociera na cały świat. Czekamy na Państwa teksty, opinie i życzenia.

Kontakt z redakcją: poolspodium@gmail.com.

ZDROWIA I POGODY DUCHA
ŻYCZY
REDAKTOR NACZELNA Z ZESPOŁEM



SCENA POLSKA | Nr 1(102)/2020 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schroten-Czerniejewicz i zespół.

WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.

www.poolspodium.org

ZDJĘCIA: Archiwum SPP

SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamet | Mac Map

OKŁADKA: Seria Masek autor Ireneusz Domagała. Projekt okładki Mariusz Mamet.

DRUK: Drukarnia Swarzędzka Stanisław i Marcin Witecki sp.j.



Kulisy scenografii teatralnej

Widz teatralny nie zawsze zdaje sobie sprawę z roli scenografii w przedstawieniu. Najczęściej przychodzi do teatru na określoną sztukę i aktorów. Rzadziej zwraca uwagę na nazwisko reżysera czy scenografa. W latach 1992 – 2019 Scena Polska w Holandii przedstawiła publiczności rozmaite spektakle poczynawszy od wieloobsadowych z rozbudowaną dekoracją jak „Kaprys” Henryka Tomaszewskiego z Teatru Pantomimy z Wrocławia, ascetycznej i symbolicznej scenografii „Mazepy” z Teatru Ateneum, oryginalnej „Medyka” z Teatru Wierszalin z Supraśla czy z tradycyjną i trudną do budowy dekoracją do „Dam i huzarów” z Teatru Nowego w Poznaniu. O przygodach z transportem i budową dekoracji napiszę przy okazji. W przypadku monodramów bywało różnie. Od drobiazgowej i nieco moim zdaniem przepelnionej drobiazgowości scenografii „Lekcji panny Margarity” z Joanną Żółkowską do skromnej, prawie pustej sceny na której wystąpili Andrzej Seweryn w „Moim Szekspirze” czy Janusz Gajos w „Mszy za miasto Arras”. To tyle tytułem przedstawienia naszych niektórych doświadczeń ze scenografią podczas teatralnych spotkań organizowanych przez Scenę Polską. Teraz, gdy nie możemy spotykać się w teatrze i przeżywać go „na żywo” jest czas, aby zastanowić się jak wygląda praca całego zespołu tworzącego przedstawienie.

Poprosiłam wybitnego artystę, scenografa teatralnego, twórcę oryginalnych kostiumów, profesora Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu, aby o krótką wypowiedź na temat swojej pracy twórczej.

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

PROF. DR HAB. IRENEUSZ DOMAGAŁA

Bardzo trudno jest mówić o sobie. O mojej pracy artystycznej wypowiadają się inni. O realizacjach scenograficznych czy kostiumowych piszą recenzje krytycy teatralni, często traktując scenografię marginalnie. To co zaprojektuję, zostaje wykonane pod moim nadzorem i potwierdzone premierą, staje się własnością teatrów, widzów, recenzentów. Oni się wypowiadają, krytykują lub mówią z zachwytem. Ja pozostaję w tle. W kulisach. Siebie nie oceniam, chociaż z czasem wydaje mi się, że niektóre projekty poprowadziłbym inaczej. Patrę w przyszłość. Najlepsze pomysły są przede mną!

Pracownia kostiumu teatralnego?

Pracownią Kostiumu Teatralnego kieruję w Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu na Wydziale Architektury i Scenografii. Jest to pracownia przygotowująca studentów do samodzielnej pracy w teatrze w charakterze kostiumografów. Program Pracowni Kostiumu Teatralnego ma na celu uruchomienie wyobraźni w projektowaniu kostiumu dla sceny, wyzwolenie kreatywności i odwagi koncepcyjnej w poszukiwaniu finalnej i tej najlepszej wersji projektu, na którą złożą się: pomysł, rozwiązanie technologiczne i wybór materii tak, aby uzyskać zamierzony efekt formalny kostiumu, rys charakteru postaci, ekspresji, funkcji i emocji, a także budowę napięcia poprzez kontrast formy i koloru,

identyfikację klimatu postaci i dynamiki przestrzeni kostiumu wobec scenografii. Proces projektowania, to również umiejętność czytania charakterów postaci, to wrażliwość na dynamikę sylwetki ludzkiej, bo projekt kostiumu musi uwzględniać funkcję pracy aktora, nie przeszkadzać aktorom.

Rola scenografa teatralnego?

Mogę mówić o procesie projektowania, o tym, co poprzedza premierę. Zmaganie się z tekstem, rozmowy z reżyserem, a potem z zespołami w poszczególnych pracowniach teatralnych. Pracownie krawieckie, szewskie, modelatorskie, malarskie. Ważna jest pracownia fryzjerska. Ważna jest modystka – bo nakrycia głowy są dopełnieniem kostiumu czy rekwizytor, który dba o przygotowanie wszystkich potrzebnych detali, wymyślonych przez scenografa. Scenograf jest osobą do wynajęcia. To reżyser zawsze zaprasza do współpracy w teatrze. Nigdy mi się nie zdarzyło, w czasie ponad czterech dekad pracy w teatrach/operowych, dramatycznych, muzycznych/, abym wystąpił w roli kogoś, kto angażuje reżysera do swoich pomysłów scenograficznych.

Od czego scenograf rozpoczyna pracę?

No, oczywiście prapoczątkiem jest propozycja od reżysera! Potem dostaję tekst dramatu czy libretto i zmagam się z pomysłami na przestrzeń i kostiumy, by przygotować się do kolejnej rozmowy z reżyserem. Najważniejszy jest dla mnie tekst. Proces projektowania scenografii i kostiumów dla sceny rozpoczyna się, przede wszystkim, umiejętnością



Krótki biogram prof. dr hab. Ireneusz Domagała

Urodzony 20.02.1952 roku. Studia w PWSSP w Poznaniu w latach 1974–1979 na Wydziale Malarstwa, Grafiki i Rzeźby. Studiował m.in. w Pracowni Malarstwa prof. Tadeusza Brzozowskiego i w Pracowni Gobelinu prof. Magdaleny Abakanowicz. W 1979 roku dyplom z wyróżnieniem z grafiki warsztatowej w Pracowni Litografii prof. Lucjana Mianowskiego i plakatu w Pracowni Plakatu prof. Waldemara Świerzego.

Kierownik Katedry Rysunku na Wydziale Malarstwa w kadencji 2001–2004 i w kadencji 2004–2008. Od roku 2011 kieruje Katedrą Ubioru na Wydziale Architektury Wnętrz i Scenografii na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu i Pracownią Kostiumu Teatralnego.

Uprawia grafikę, rysunek i scenografię. Zrealizował kilkanaście wystaw indywidualnych w kraju i za granicą, m prof.in. w Mexico City, Kolonii, Warszawie, Poznaniu. Brał udział w kilkudziesięciu wystawach zbiorowych za granicą m.in. w Belgii, Niemczech, Szwecji,

na Węgrzech i w kraju m.in. we Wrocławiu, Szczecinie, Katowicach, Poznaniu, Sopocie.

Zrealizował ponad 60 projektów scenografii do baletów i spektakli dramatycznych w Polsce i za granicą.



Szelest ptaka

czytania wybranego tekstu. Scenograf czyta i widzi, musi zobaczyć słowo, stąd bezpośrednim impulsem do zaprojektowania kostiumów jest temat czyli słowo zawarte w scenariuszu, w dramacie czy librecie baletu czy opery. Praca nad projektami kostiumów dla teatru jest efektem bezpośredniego kontaktu ze słowem. Pierwsze szkice projektu kostiumu są zapisem graficznym wynikającym z lektury tekstu literackiego, który zawiera podstawowe informacje dla scenografa jak: opis charakteru postaci dramatu z uwzględnieniem symbolicznych znaczeń i historycznych kontekstów, opis czasu i miejsca akcji, a zarazem ujawnia wzajemne relacje bohaterów. Autorskie rysunki projektanta, które nie ilustrują, a raczej są interpretacją odczytanych klimatów sztuki. Stanowią arsenal pomysłów będących wyjściem do powołania indywidualnych form, które złożą się na finalny obraz sceniczny. Paradygmat przekładu słowa na obraz to właściwość każdego etapu projektowania obrazu teatralnego.

... czyli szacunek dla tekstu?

Mocnym akcentem utwierdzającym projektanta w inspirowaniu się słowem jest biblijny przekaz: „A słowo było na początku i na początku było słowo”. To odwołanie do stwarzania, do kreowania nowych światów jest bezpośrednim odniesieniem się do słowa, jako prapoczątku wszelkich idei. Słowo wyzwala kreatywność i odwagę koncepcyjną. Relacje słowa i obrazu to permanentne zmaganie się z tekstem sztuki i poszukiwanie adekwatnych obrazów w ich najlepszej wersji. Tak jak w arii operowej czy piosence słowo przystaje do nut, tak też opisane w sztuce charakterystyki postaci są przystawalne do ich wyglądu

na scenie, jaki wykreuje twórca. Na szczęście każdy scenograf odczytuje słowo po swojemu, zachowując swoje indywidualne spojrzenie na charakter koncepcji.

Na scenie następuje spotkanie wielu dyscyplin sztuki?

Tak. Dramaturg/słowo/, muzyk/wokół, orkiestra/, balet/tancerz, choreograf/czy reżyser, aktor ze swoim kunsztem twórczego warsztatu i scenograf. Wszyscy współpracują na rzecz spektaklu i jego najlepszych rozwiązań artystycznych.

... a inspiracje?

To przede wszystkim malarstwo, fotografia prasowa, architektura, świat fauny i flory, ale i zobaczona sytuacja przestrzenna po lekturze tekstu. To sprzężenie słowa i obrazu działa w obu kierunkach, bo namalowany obraz też może być powodem do literackich wzruszeń. Malarstwo bardzo często jest polem inspiracji dla sceny. Obraz malarski staje się powodem powołania obrazu scenicznego. Na styku słowa i obrazu pojawia się wiele znaczeń i symboli. Obraz ewokuje słowo, a słowo prowokuje obraz. W tym kontekście praca scenografa jest szczególnym rodzajem transponowania słowa na obraz. Ta styczność wypowiedzi jest powodem powstawania dzieł literackich i malarskich

wynikających z wzajemnych powiązań. Słowo pisane czy mówione towarzyszy scenografom w rozstrzygnięciu relacji i zależności jednego od drugiego. Ważną częścią pracy scenografa są oczywiście rozmowy z reżyserem czy choreografem. Zderzenie wyobrażeń obu stron daje najczęściej pozytywne efekty, które niekiedy rodzą się w czasie intensywnych sporów.

Maski

„Seria masek powstawała i powstaje w czasie izolacji. Często motywem moich prac scenograficzno-kostiumowych w teatrze była maska, w grafice również posługiwałem się maską, a teraz nachalność tych masek, wręcz obsesyjność, natrętność, a jednocześnie niemoc! One powstały z niemocy, z niezgody na zamknięcie – stąd dialog urojony z artystami i ich dziełami! Odniesie się do historii, do historii sztuki, do choroby, bo pierwszą maską była maska a la van Gogh/Vincent/. Dialog na płaszczyźnie sztuki jest kreacją i ta idea jest spełnieniem. Czy to się komuś podoba czy nie, to już nie moja sprawa! To tak jak można kochać Rembrandta, a nie akceptować Pollock’a! Każdemu wolno kochać to, co uznaje za obiekt tej miłości!”

POZDRAWIAM

PROF. DR HAB. IRENEUSZ DOMAGAŁA



„Eksplodza”

Jutro idziemy do kina



DOMINIK MATWIEJCZYK

Jestem kinomanem, więc zamknięcie kin w czasie pandemii odczułem bardzo boleśnie. Oczywiście wiem, że inne obostrzenia uderzyły w ludzi o wiele mocniej, ale dla mnie osobiście to było najbardziej dotkliwe. Zazwyczaj bywam w kinie dziesięć razy w miesiącu (mam specjalny abonament, który oferuje jedna z sieci i w cenie dwóch seansów mam możliwość bywania w kinie ile dusza zapragnie). Oczywiście są inne obowiązki, mam pracę, spędzam czas z rodziną, ale na kino zawsze udaje mi się wygospodarować te kilka dni w miesiącu. Podobnie jak mój brat Piotr najczęściej chodziliśmy na seanse przedpołudniowe. Czasem zdarzało się, że nie było innych widzów i można było poczuć się jak na prywatnym seansie. Pewnego dnia, czekając w ciemnej sali na poranny seans, zauważyłem kolejnego widza, który wszedł i usiadł kilka rzędów niżej. Charakterystyczna sylwetka kogoś mi przypominała. Szybko napisałem sms-a do Piotra, z pytaniem co robi. Odpisał, że jest w kinie. No więc przysiadłem się do niego. A że film był wyjątkowo nudny, przegadaliśmy cały seans.

Odczuwam także brak festiwalu filmowych, które także odwołano lub przeniesiono do sieci. W ostatnich latach nie uczestniczyłem nich już tak często ze względu na pracę i rodzinę, ale wspominałem ich atmosferę zawsze z wielkim sentymentem. Zwłaszcza Festiwal Filmowy z Gdyni, lub Festiwal Debiutów w Koszalinie. Do tego kameralne, niemal o rodzinnym klimacie festiwale we Wrześni, w Jelenie Górze czy Festiwal Filmów Optymistycznych w Rzeszowie. Wszystko to brzmi jakby te festiwale miały już nigdy się nie odbyć, ale roczna przerwa w większości z nich jest prawdziwą tragedią dla filmowców, zwłaszcza młodych, którzy chcieli pokazać tam swoje debiutanckie filmy. Przeniesiony na przyszły rok Festiwal w Gdyni, cierpiał na brak filmów, które mógłby pokazać w konkursie. Po luzowa-

niu części obostrzeń okazało się, że wielu reżyserów jest w stanie ukończyć swoje filmy przed festiwalem. Powstał nawet apel filmowców, aby jednak nie rezygnować w tym roku z festiwalu, a przenieść go na listopad. Padł nawet konkretny termin. Gdy będą Państwo czytali te słowa, sprawa z pewnością będzie już wyjaśniona i „największe święto polskiego kina” być może odbędzie się jeszcze w 2020 roku.

Sam pracuję jako scenarzysta i reżyser. Gdy 10 marca ogłoszono lockdown, z dnia na dzień straciłem pracę. A przynajmniej jej większą część, bo jako scenarzysta mogłem w niewielkim stopniu kontynuować pisanie do seriali telewizyjnych, których producenci musieli się wywiązać z części zamówień. W połowie czerwca wracam na plan, ale zdaję sobie sprawę, że będzie ciężko dostosować się do obostrzeń. Maseczki, trzymanie dystansu, ograniczenie kontaktu, to wszystko jest bardzo trudne, ale nie niemożliwe na planie filmo-

wym. Sam jestem ciekaw jak to będzie wyglądać, mimo że jako reżyser będę zobowiązany nie tylko przestrzegać, ale także pilnować innych, żeby trzymali się ograniczeń. Oczywiście aktorzy nie będą grać w maskach, bo wyglądałoby to dość groteskowo. Obowiązek noszenia masek w Polsce zniesiono jedynie na świeżym powietrzu. W pomieszczeniach nadal trzeba tego przestrzegać. Zapowiada się bardzo intrygująco.

Podsumowując, kina otwierają się w czerwcu, póki co przynajmniej te małe, studyjne, dla których to jedyna szansa by przetrwać. Duże sieciówki jeszcze wstrzymują się z otwarciem. Przepuszczalnie koszty mogą być zbyt duże, mając na uwadze to, że jedynie 50% sali może być wypełnione. Przez cały czas liczę, że moje ulubione przedpołudniowe seanse nadal nie będą zbyt popularne i sale będą nadal wypełnione jedynie w 1%.



DOMINIK MATWIEJCZYK

scenarzysta i reżyser filmowy i telewizyjny. Jego pełnometrażowy debiut pt. „Krew z nosa”, zdobył nagrodę za reżyserię i nagrodę publiczności na Międzynarodowym Festiwalu Debiutów w Koszalinie, oraz kilkanaście innych nagród na innych festiwalach. Kolejny film, pt. „Ugór” wygrał konkurs kina niezależnego na Festiwalu w Gdyni. W obu filmach główną rolę zagrał Bodo Kox, który obecnie jest nagradzanym reżyserem („Dziewczyna z Szafy”, „Człowiek z Magicznym Pudełkiem”) Następne filmy reżysera to „Rzeźnia nr 1” (zwyciężyła na Festiwalu Optymistycznym w Rzeszowie), „Krótka Histeria Czasu” z Mateuszem Damięckim i Kamillą Baar, „Czarny” z Michałem Żurawskim i „Związek na odległość” z Tomaszem Kotem i Wojciechem Mecwaldowskim. Reżyserował także kilka odcinków popularnego serialu Pitbull w 2006 i 2007 roku. Obecnie pracuje dla telewizji jako reżyser i scenarzysta seriali.

„Szczygieł”, film o dorastaniu

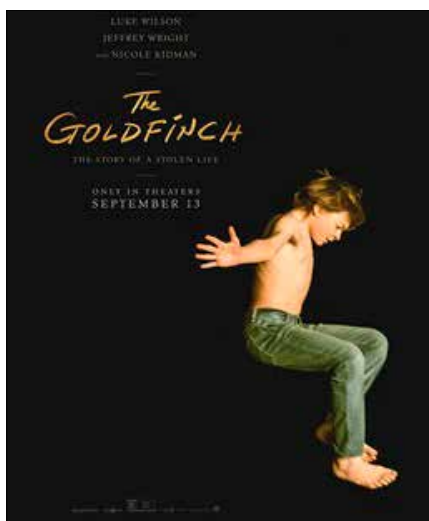


GRAŻYNA GRAMZA

W zeszłym roku na ekrany kin wszedł film zatytułowany „Szczygieł”. Jego fabułę oparto na powieści Donny Tartt, która otrzymała za nią nagrodę Pulitzera. Nie miałam jeszcze okazji przeczytać książki, ale film jak najbardziej polecam. Nie jest krótki i łatwy w odbiorze. Dzieje się w przeszłości oraz współcześnie. Głównym bohaterem jest Theo Decker, nastolatek, który cudem przeżywa zamach bombowy w nowojorskim Metropolitan Museum. Ze zgliszczy udaje mu się wyciągnąć obraz malarza Carela Fabritiusa, będący zarazem ulubionym dziełem jego matki. „Szczygieł” staje się nieodłącznym towarzyszem życia chłopca. Czy nieodłącznym? Właśnie na tym oparta jest intryga i wątek sensacyjny filmu. W szerszym ujęciu dzieje Theo pokazują współczesną Amerykę od mrocznej strony (przemoc, handel narkotykami...), ale też tę, o której wszyscy marzą – bogatą i kulturalną. Książka i film są o dojrzewaniu. O samotności dziecka dorastającego bez opieki rodziców, o eksperymentowaniu młodego człowieka z używkami, o przyjaźni i miłości. Uczucia, które gnębią Theo to poczucie winy i tęsknota za matką, za której śmiercią czuje się odpowiedzialny. Zakończenie filmu pokazuje, jak życie potrafi być przewartościowane i że czasami rzeczy złe prowadzą do dobrego końca. Czy dalsze życie Theo będzie szczęśliwe? Odpowiedzi na to pytanie już nie znajdziemy w dziele Johna Crowleya, ale na pewno etap samotnego dźwigania tajemnicy Theo ma za sobą.

Obraz Fabriciusa stanowiący tytuł i motyw przewodni filmu, jest dziełem, które na co dzień możemy oglądać w Mauritiushuis w Hadze. Należy do malarstwa iluzjonistycznego.

„Szczygieł, namalowany na tle kredowej ściany, w brązowo-beżowych tonacjach z łatwością mógł wtopić się w otoczenie i oszukać ludzkie oko.” – czytamy na portalu „Niezła Sztuka”.



Reżyseria – John Crowley

Scenariusz – Peter Straughan

Gatunek – Dramat

Produkcja – USA

Premiera – 8 września 2019 (świat)

Sam artysta, uczeń Rembrandta, oddał się przede wszystkim tworzeniu obrazów przedstawiających życie codzienne. Rozjaśnił też zdecydowanie swoją paletę. Jego twórczość stała się niejako łącznikiem między Rembrandtem a Vermeerem. Niestety nie zachowało się wiele jego obrazów. Historycy sztuki mówią o dwunastu. Jeden znajduje się w Polsce. Jest to „Wskrzeszenie Łazarza” w Muzeum Narodowym w Warszawie. Wtedy artysta był jeszcze pod wpływem swojego mistrza. Fabricius zmarł młodo, w wieku 32 lat. Mieszkał w Delft, kiedy wybuchła prochownia (1654 r.) i duża część miasta spłonęła. Malarz zmarł w wyniku odniesionych ran. Z pożaru uratowano kilka jego prac, a wśród nich „Szczygieł”. Ten nieduży obraz ocalał nie tylko w fikcyjnym zamachu w Nowym Jorku, ocalał także w rzeczywistości. Jest śliczny. Przyciąga wzrok. Kiedy zastanawiamy się dlaczego malarz postanowił uwiecznić tego ptaszka, to odpowiedź jest prosta. Było to ulubione stworzonko do zabawy dzieci i młodych panien. Szczygły są mądre i łatwo się uczą różnych sztuczek. Po holendersku „szczygieł” to „puttertje”, a słowo pochodzi od „studni” („de put”). Co ma wspólnego ptak ze studnią? Sztuczka którą potrafiły robić szczygły było nabieranie wody miniaturowym wiaderkiem. I stąd mamy uroczy obrazek „Puttertje”, który wisi w haskim muzeum.

A do obejrzenia filmu jeszcze raz zachęcam. Sama zabieram się za lekturę książki.

GRAŻYNA GRAMZA

EINDHOVEN, 2.04.2020 R.

Festiwale Filmowe



45. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni przełożony na następny rok

W związku z panującą sytuacją epidemiologiczną w kraju i zaleceniami rządowymi w zakresie organizacji imprez masowych 45. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni nie odbędzie się w 2020 roku. Taką decyzję 20 maja br. jednogłośnie podjął Komitet Organizacyjny PPF.



11. Polska Wiosna Filmowa w Holandii przełożona

Pools Podium i kino Lumen w Delft przełożyły również swój festiwal. Mieliśmy gotowy program, czekaliśmy na projekt plakatu autorstwa Andrzeja Pagowskiego, a wsparcie ze strony Stowarzyszenia Filmowców Polskich i Polskiej Organizacji Turystycznej czekało na zielone światło. Informacje prasowe były gotowe do rozesłania do mediów. I wiosną pojawił się wirus. Dotknął wszystkie festiwale filmowe na świecie. Niektóre festiwale odbywają się online. Ale to nie to samo co spotkanie w kinie z filmami i ich twórcami. Poczekamy...

ZSCZ

Jestem na kwarantannie...



EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI

Jestem na kwarantannie w Polsce. Wynajęłam sobie całkiem ładne mieszkanie (w Internecie pokazały się ogłoszenia typu: „Mieszkanie na kwarantannę wynajmę na 15 lub 30 dni”) na warszawskiej Pradze, wygodne, jasne, z dużym balkonem. Dużo czytam (między innymi doskonałą książkę J. Szczęsnej i A. Bikont „Lawina i kamienie. Pisarze wobec komunizmu” – kiedyś opowiem o tym więcej), oglądam filmy na Netflixie, rozmawiam przez telefon. I tyję, bo nie dość, że nie ma ruchu, to i jeść chce się też jakby więcej. Musiałem zainstalować na swym telefonie specjalną aplikację pt. Kwarantanna domowa i jestem sprawdzany. Dwa razy dziennie, o absolutnie nieprzewidywalnych porach, dostaję sms z powiadomieniem, że za 2 minuty będę miał „nowe zadanie” do wykonania w aplikacji. A tam zadanie, w języku angielskim (choć cała reszta, na szczęście, po polsku), że mam sobie w ciągu 20 minut zrobić selfie i wysłać. Aplikacja wie, gdzie się znajduję, więc kiedy się moje zdjęcie połączy z miejscem, to wiadomo, że przestrzegam kwarantanny. Sprytne. Może nie do końca, ale jednak sprytne. A jak fotki nie wysłę, to przyjdzie pan policjant i sprawdzi. Nie wiem, w jaki sposób, bo na razie pilnie wysłałam kolejne fotografie. Jeszcze w życiu nie miałem tyle swoich zdjęć zrobionych w tak krótkim czasie. W dziesiątym dniu kwarantanny dostałem wiadomość, że w dniu dwunastym mogę sobie zrobić badania na obecność wirusa. W tym celu mam zadzwonić i dowiedzieć się, dokąd mam się udać. Zadzwoniłem. Po przebrnięciu przez 18 bodaj opcji do wybrania odezwała się miła pani z NFZ. W dłuższej z nią rozmowie dostałem kilka numerów telefonów, pod które mam zadzwonić (bo to nie był ten właściwy, jak się okazało). Dzwonię. Reakcje są różne: od ogromnego zdziwienia („Ale dlaczego pan dzwoni do nas?) do ledwie skrywanej irytacji („Ale my nie jesteśmy od tego!”). W końcu, po jakichś 10 próbach dodzwaniam się do laboratorium Wojskowego Instytutu Medycyny

Lotnictwa (sic!), gdzie miła pani informuje mnie, że „owszem, testy robimy, od 11-tej do 13-tej, ale po pierwsze musi pan przyjechać własnym samochodem (nie mam, bo stoi w innej dzielnicy na parkingu), a po drugie, to mamy awarię systemu i dzisiaj testów nie robimy”. Pytam, czy mogę przyjechać jutro. Niestety nie, test ma być wykonany w dwunastym dniu kwarantanny. Wyłącznie. Całe szczęście, że nic mi nie dolega, a i psychicznie pewnie jestem wypoczęty, bo nawet specjalnie nie kłamię. Tym bardziej, że gdzieś przeczytałem, że jakiś strażak wykonał coś około 470 telefonów do sanepidu, żeby zgłosić, że może być



zakazony. To co tam tych moich piętnaście! Dzisiaj ostatni dzień, jutro wychodzę na „wolność”. Właśnie taką, w cudzysłowie. Miałem 14 (no dobrze, jakby się ktoś uparł przy matematyce, to faktycznie tylko 13) dni na to, żeby zobaczyć z bliska, jak się mają sprawy w Ojczyźnie. I stąd ta wolność ograniczona podwójnymi przecinkami. Jasne, wszyscy mamy ograniczenia związane z koronawirusem, a tam gdzie ich nie ma, albo są drastycznie luzowane (jak choćby w Brazylii czy Stanach) ludzie niekoniecznie wychodzą na tym najlepiej. Pogodziliśmy się z nimi, jako koniecznością, od której nie ma ucieczki. A jednak są pewne różnice i pewne sytuacje, które powodują, że niespecjalnie cieszę się z tego jutrzejszego wyjścia. I nawet nie fakt noszenia maseczki podczas spaceru na ulicy jest tu największym problemem, chociaż z pewnością jest; uważam, zgodnie zresztą z opinią większości ludzi mających w tym temacie znacznie większą od mnie wiedzę, że używanie maseczek jest generalnie bez sensu, szczególnie na otwartej przestrzeni.

Ciężko mi się w tym się oddycha. Ale wolność, która nie pozwala mi na jakikolwiek spacer w pewnych miejscach, bo może mnie czekać policyjna kontrola dokumentów (niespowodowana żadnym wykroczeniem z mojej strony), za którą często idzie mandat nie wiadomo bliżej za co, a jak człowiek ma pecha, to jeszcze go sanepid dobije karą 10 tysięcy polskich złotych (płatną w ciągu tygodnia!). Za co? – zapytacie państwo. Ano, na przykład za to, że nie spodobała nam się cenzura Listy Przebojów Trójki i chcemy to pokazać. Albo za to, że chcieliśmy się przyjrzeć, jak protestują przedsiębiorcy przeciwko przedłużającemu się zamknięciu niektórych dziedzin gospodarki. Albo za to, że spotkaliśmy na ulicy parę znajomych i zaczęliśmy z nimi pogawędkę, a odległość między nami wynosiła 1,9m w miejsce przepisowych dwóch. Za cokolwiek, z policją nie ma żartów.

No więc chyba taka „wolność” mnie specjalnie nie pociąga.

A że nie mówię tego wszystkiego bezpodstawnie, niech zaświadczy apel generałów Policji RP zamieszczony na stronie ich stowarzyszenia, wzywający policjantów (i Policję) do bardziej rozsądnego traktowania obywateli i przypominający, że policja jest generalnie w służbie obywateli i powinna o tym zawsze pamiętać. Inaczej zbliża się niebezpiecznie w swoich poczynaniach do Milicji Obywatelskiej, która była tak samo obywatelska, jak demokracja socjalistyczna była demokracją (stary dowcip mówił, że różnica między demokracją socjalistyczną a demokracją jako taką jest identyczna, jak między krzesłem elektrycznym a krzesłem jako takim). Więc policja karze, chociaż nie wszystkich jednakowo, no niektórzy mogą więcej, podobno z racji „wykonywania obowiązków służbowych”. Naszemu premierowi doradcy zapomnieli powiedzieć o obowiązujących przepisach, więc poszedł na kolację z trzema znajomymi bez zachowania jakichkolwiek środków ostrożności. Policji przy tym raczej nie było. Jakże symptomatyczne wydaje się w tych okolicznościach, że niderlandzki premier nie zobaczył już swojej umierającej, dziewięćdziesięcioletniej matki, bo był zakaz kontaktów z osobami przebywającymi w ośrodkach pomocy.

To w sumie pozytywna wiadomość; może i do nas kiedyś dotrze, że przestrzeganie prawa wymagane musi być od wszystkich w jednakowy sposób, a nie tylko od tych, których działanie nie podoba się najszerzej pojmowanej „władzy”.

Życie po dyżurze podczas epidemii



NICOLAS SCHROTTEN

Przez ostatnie kilka miesięcy jedynym tematem w mediach był COVID-19. Oczywiście, jako lekarz na oddziale intensywnej opieki medycznej (OIOM) też śledziłem wiadomości o rozwoju epidemii i to nie tylko z przyczyn zawodowych, ale też z troski o rodzinę i bliskich. Na szczęście szybko było wiadomo, że wirus jest mało groźny dla dzieci. To była duża ulga dla nas, rodziców z pięcioletnim synkiem w domu. Wyglądało też, że ryzyko ciężkiego zachorowania dla mnie i żony jest ograniczone, ale co z rodzicami albo znajomymi w podeszłym wieku?

Zanim rząd postanowił zamknąć szkoły, my postanowiliśmy ograniczyć kontakty naszego synka z przyjaciółmi. Wysłaliśmy wiadomość do wszystkich naszych sąsiadów z postanowieniami, aby zmniejszyć ilość dzieci pukających do drzwi i zapraszających synka do wspólnej zabawy. Ponadto, chcieliśmy dać znać sąsiadom, że sytuacja jest poważna. Liczyłem się z tym, że mogę zachorować przez moją pracę z pacjentami COVID-19, ale też zależało mi na tym, żeby nie zarazić pacjentów poprzez moje kontakty, lub synka i żony.

Zarówno w szpitalu jak i w moim otoczeniu prywatnym z początku dużo ludzi nie zdawało sobie sprawy, jak poważna jest sytuacja i jak szybko wirus może się rozprzestrzenić. Kiedy pierwszy pacjent został zdiagnozowany w Holandii, zrobiłem szybko grafikę w excelu, za pomocą danych, które były dostępne z innych państw. Przestraszyłem się, ilu pacjentów może trafić do szpitala w krótkim czasie.

Luty – marzec, początek epidemii

Razem z innymi lekarzami na oddziale zaczynamy przygotowywać się do przyjęcia dużej liczby pacjentów, ale zdajemy sobie też sprawę z tego, że sytuacja będzie się ciągnęła tygodniami, a może nawet miesiącami i musimy znaleźć sposób na oszczędzanie sił. Oznacza to więcej lekarzy w szpitalu i krótsze dyżury. Niestety oznacza to też więcej dyżurów. Żona też pracuje w szpitalu, więc, po zamknięciu szkół, mamy szczęście, że nasz synek nadal może chodzić do szkoły, kiedy my musimy pracować. Próbujemy jednak tak

podzielić naszą pracę, by ograniczyć to do minimum. Wszyscy, którzy mają dzieci wiedzą, że po ciężkim dniu (lub nocy) w pracy trudniej jest odpocząć, gdy po powrocie do domu trzeba się też zajmować dzieckiem. Tu niestety musimy poprosić o pomoc telewizor i tablet. Normalnie próbujemy ograniczyć ilość wpatrywania się w ekran do godziny dziennie, ale teraz uzgadniamy z żoną, że nie będziemy liczyć minut. I na szczęście nasz synek uwielbia siedzieć w domu i oglądać filmiki, więc nie narzeka, że nie może bawić się na podwórku.

Kwiecień – maj, kulminacja epidemii

W międzyczasie na oddziale przybywa coraz więcej pacjentów COVID-19 i jest coraz więcej zebrań i webinarów. Dzieci z podwórka już wiedzą, że nasz synek nie będzie się z nimi bawił na podwórku i nie dzwonią do drzwi. Ale gdy wyglądam przez okno widzę duże gromady dzieci, też z sąsiednich ulic. Sąsiedzi czasami pytają mnie o opinie na temat sytuacji i jak mają postępować. Często w tych pytaniach jest ukryta nadzieja, że powiem, że nie jest aż tak źle i nie szkodzi, że nie zawsze dostosowują się całkowicie do zaleceń rządu. Wtedy przychodzi mi od razu na myśl pacjenci, których musiałem przyjąć na oddział i wprowadzić w farmakologiczną śpiączkę by podłączyć do respiratora, zrozpaczona rodzina, która nie może ich odwiedzać w szpitalu i mój grafik, w którym szybko zbliżamy się do punktu, gdy zabraknie respiratorów. Niektóre media piszą, że wirus jest tylko niebezpieczny dla starszych i schorowanych, ale na OIOMach średnia wieku to 65 lat, czyli połowa osób jest młodsza. Teraz jesteśmy jeszcze w stanie ich uratować, ale co zrobimy jeżeli zabraknie respiratorów?



fol. Frederike Roozen

Co więc odpowiedzieć sąsiadom? Moim pierwszym impulsem jest, żeby ich pouczyć, żeby przestali marudzić, trzymali się zaleceń i pozamykali w domach, bo sytuacja jest dużo gorsza, niż sobie wyobrażają. Przecież my też się odizolowaliśmy i trzymamy zaleceń. W tym samym momencie przypominam sobie strach w oczach pacjentów na oddziale kiedy, na prośbę lekarzy pulmonologii, przychodziłem ocenić czy trzeba przyjąć pacjenta na OIOM. Strach innych pacjentów, gdy opuszczaliśmy pokój z jednym z nich i strach pacjentów przed narkozą i respiratorem. Strach przed sytuacjami jakie widzieli we Włoszech i Chinach w telewizji i strach, że już nigdy się nie obudzą. Proszą, żeby ich nie brać na OIOM. Ludzie się boją OIOMu.

Rozumiem ich strach, ale na szczęście (jeszcze) nie jest tak źle, jak we Włoszech i większość pacjentów jesteśmy w stanie uratować, a bez przyjęcia na OIOM na pewno źle się skończy. Oczywiście po kilku tygodniach na OIOMie są bardzo osłabieni, ledwo mogą podnieść palec i otworzyć usta. Ale z właściwą rewalidacją większość znowu będzie w stanie wrócić do domu i do zawodu.

W tym samym czasie też widzę, jak trudno jest sąsiadom łączyć pracę w domu z opieką nad dziećmi, do tego dochodzi strach o utratę dochodów i troska o zdrowie ich rodziców. Ja mam możliwość pójścia do pracy i nasz syn może chodzić do szkoły, jeżeli jest taka konieczność. Widzę też, jak bardzo wszyscy się starają na własny sposób. Jest prawie pusto w sklepach i nie ma już korków na drodze.

Postanawiam więc tylko opowiedzieć moje doświadczenia w szpitalu, jak ja się obcho-dzę z sytuacją i co ja wiem na temat wirusa. Potwierdzam, że uważam, że rady ekspertów są rozsądne, ale każdy musi znaleźć dla siebie najlepszy sposób w zatrzymaniu rozpo-wszechniania wirusa. Wirus będzie z nami jeszcze długo i nie możemy się dać zwariować.

Czerwiec, coraz mniej pacjentów

Były momenty kiedy naprawdę martwiłem się, że zabraknie łóżek, lekarstw, respiratorów. Karetki jeździły 24 godziny na dobę po całej Holandii i nawet transportowaliśmy pacjentów helikopterami, pomagał nam personel z innych oddziałów, emerytowani lekarze i nawet personel z lotniska pomagał w sprzą-taniu i odkazaniu pokoi, ryzykując własne zdrowie. Ale nie dalibyśmy rady, gdyby moi sąsiedzi, znajomi i większość mieszkańców w Holandii nie oddali trochę swojej wolności. Wciąż cieszę się, że nie byłem za surowy dla innych.

W Holandii i wielu innych krajach jest już coraz mniej zakażeń. Nasze wysiłki się opłacają. Być może nadejdzie jeszcze druga fala, ale teraz mam zaufanie, że damy radę. ■

Czosnek



MAREK ORZECHOWSKI

Gotuję niewiele, właściwie nic nie gotuję, telewizyjnych kuchni nie oglądam, recept nie czytam, stowałem się w parlamentarnej kantine, ale ta zamknięta została jako jedna z pierwszych, chodziłem często do miasta na lunch, no ale od tygodni nie ma z kim i nie ma gdzie. W spiżarni od lat trzymam książki, a z tych nie da się zrobić jajecznic. Coś jednak muszę jeść.

Zadzwoniłem do paru kolegów, którzy nie zeszli jeszcze do podziemia, jeszcze nie przybrali pseudonimów aby ukryć się przed wirusem, za to mają żony więc i obiady, aby dopytać, zapytać, co mam jeść aby jeszcze oddychać. Z radami nie byli nawet skąpi, tyle że moja lodówka jest pusta, a z pustego, wiadomo, nawet i Salomon.

Zresztą nie chodziło ani o pieczeń, ani o kotlety, bigos, bitki czy rolady, tych nie jem tak czy owak, ani o pierogi z kapustą czy kaloryczne zupy. Pytałem o cokolwiek co nadaje się do jedzenia w tak niepewnych czasach, co powinien jeść taki mężczyzna jak ja, żyjący na marginesie rodzinnego życia, indywidualista, ale mimo to z potrzebami, rzadkimi ale jednak, by nie stracić ochoty do życia, zachować sokoli wzrok, i wzmocnić siły intymne do pisania.

Lista porad była zycziwa, pomysł gonil pomysł, okazało się że większość z kolegów to prawdziwe ukryte kucharskie talenty, wybrałem z niej cebulę, szczypiorek, brukselekę, paprykę, ogórek, marchew, kiszoną kapustę. I przede wszystkim czosnek. Byłem wdzięczny za wskazówki, ale dokładnie tym, poza czosnkiem, już się żywiłem, a mimo to odczuwałem jakieś braki. Postanowiłem więc przy najbliższej wizycie w sklepie kupić nieco pomidorów, jabłek, pomarańczy, mango i kiwi. No i ten czosnek. No i jakąś rybę, jeśli będę w stanie ją właściwie usmażyć, byłbym szczęśliwy. Czy potrafiłem nie wiem, ale rybę zjadłem. Razem z Napoleonem. W odróżnieniu do mnie, Napoleon się obliżywał.

Przy ostatnim kęsie pomyślałem o proctwach internetowych jasnowiedzów, któ-



rzy zapowiadają, że restauracje nie mają już przyszłości, bowiem nauczyliśmy się jeść sami, i szef obcej kuchni nie jest nam potrzebny. Oczywiście piszą bzdury, wiem że z nudów, ale to nie może być usprawiedliwienie, bowiem ktokolwiek zna trochę życie wie, restauracja to nie tylko patelnia i garnki, tylko kultura stołu, manier i spotkania, atmosfera kuchennego cudu i uwodzenia zmysłów. Wino zawsze lepiej smakuje i pasuje do menu w restauracji niż w domu, jak małżeńska zdrada.

Kiedy byłem w sklepie aby uzupełnić moje braki, spostrzegłem przy stoisku z warzywami mężczyznę w średnim wieku i maseczką na twarzy, który do koszyka wkładał wszystkie główki czosnku jakie były w sklepowej skrzynce. Dwa, trzy dni wcześniej kilku belgijskich ekspertów doradziło zdezorientowanemu społeczeństwu spożywanie czosnku, który, ponoć, blokuje w jakiś tajemniczy sposób ekspansję wirusa, wzmacnia bowiem odporność. Za radą kolegów lykających czosnek codziennie, chciałem kupić czosnek i ja, dwie, trzy główki, nie więcej, jestem w końcu nowicjuszem. Wiem, wiem, czosnek jest zdrowy a palenie papierosów szkodliwe, ale ja za nim przepadam, nawet w czasach zagrożenia.

Tymczasem zakryty, niezidentyfikowany dzentelmen, nabrałem do niego już niechęci, anektował cały zapas czosnku, zatem znów miałem zostać z niczym jak wcześniej przy pustych regałach z klozetowym papierem, a raczej bez niego. A przecież też chciałem walczyć z wirusem, chciałem być w antywirusowym podziemiu aktywny. Potrzebowałem czosnku jak płuca tlenu. Ruszyłem do ataku. Niech mi nikt po latach nie zarzuci, że los Europy był mi obojętny.

Złamałem rygorystyczny przepis o dwumetrowym dystansie i wolno zbliżyłem się do mężczyzny. Ten nadal z uwagą oglądał

główki czosnku, raz wkładał je do koszyka to znów odkładał, i tak w kółko.

– *Przepraszam, że się zbliżam, że naruszam social distancing, mam nadzieję nikt nie widzi, ale zapewniam, jestem jeszcze zdrowy, ale sytuacja jest wyjątkowa a los pana nie jest mi obojętny* – powiedziałem w tonie usprawiedliwienia.

– *Widzę, że jest pan ostrożny, to dobrze, ostrożności bowiem nigdy za wiele, dobrze, że jest pan tak bardzo przezorny* – wyśmiałem. – *Bo proszę, niech pan spojrzy dokładniej, przecież to jest ten sławny, rzekomy czosnek z Chin, rozumie pan, z Chin... From China...*

Mężczyzna zdrętwiał, czosnek wypadł mu z ręki i szybko odłożył z powrotem wszystkie główki do skrzynki.

– *Dziękuję, bardzo dziękuję za zwrócenie uwagi, jak to trzeba dziś na wszystko uważać* – odrzekł przez maseczkę poruszaną jego słowami, i prawie sparaliżowany strachem odpłynął. Odczekałem chwilę, i kiedy zniknął za regałem, trzy główki czosnku znalazły się w moim koszyku. Wróciłem do domu pierwszy raz w kryzysie dumny z siebie, i teraz mogłem się czosnkować, jak inni.

Jak dotąd zjadłem tylko jedną główkę czosnku, więcej, mimo determinacji nie dałem rady, nie znam się na obróbce czosnku, jadłem go tylko na surowo, zapierał mi dech, zatykał nozdrza, musiałem się wachlować, potrzebowałem tlenu, wychodziłem na taras i wdychałem świeże powietrze. Trochę potrwa, zanim zdobędę wystarczającą odporność. Resztę schowałem do lodówki, nie wiem czy słusznie, być może wrócę jeszcze do niego, kiedy jakiś godny zaufania ekspert udowodni, że jest skuteczny, a rząd nakaże jego obowiązkowe spożycie. Póki co, wirus i czosnek, i pierwszy i drugi z Chin, nie dla mnie.

BRUKSELA

Lektura (nad-)obowiązkowa

Obojętność na zbrodnię już jest zbrodnią

Wzalewie książek ze słowem Auschwitz w tytule, których okładki biją po oczach w każdej polskiej księgarni, pełno aniołów, tatuażystów, położnych, a ostatnio nawet płatnego seksu w Auschwitz. Można odnieść wrażenie, że rynek księgarski wykorzystuje rocznicę zakończenia II Wojny Światowej handlując obozową traumą. Najwyraźniej szmirowate często powieści z obozem koncentracyjnym w tle świetnie się sprzedają. Na tym tle książka Marty Grzywacz „Nasza pani z Ravensbruck – historia Johannы Langefeld” (wyd. W.A.B., 2020) wyróżnia się nie tyle tytułem, ile treścią. Tytuł, dla wielu na pierwszy rzut oka szokujący, po przeczytaniu całosci stanie się zdecydowanie bardziej oczywisty.

Autorka zadała sobie ogromny trud, żeby napisać książkę o osobie rzadko wymienianej wśród nazistowskich zbrodniarzy wojennych, a przez to zagadkowej. A przecież Johanna Langefeld była pierwszą nadzorczynią kobiecego obozu w Ravensbruck a później organizatorką i pierwszą nadzorczynią kobiecego obozu Auschwitz-Birkenau. Nie była więc z całą pewnością kimś nieważnym w strukturze przemysłu zagłady, o czym świadczy choćby fakt, że miała wątpliwy „zaszczyt” znaleźć się wśród 41 zbrodniarzy oskarżonych w tzw. Pierwszym Procesie Oświęcimskim (zapadły 23 wyroki śmierci!). Nie doczekała się jednak procesu, bo... uciekła z więzienia na Montelupich. Taka kobieta, taka historia, a tak mało o niej wiadomo.

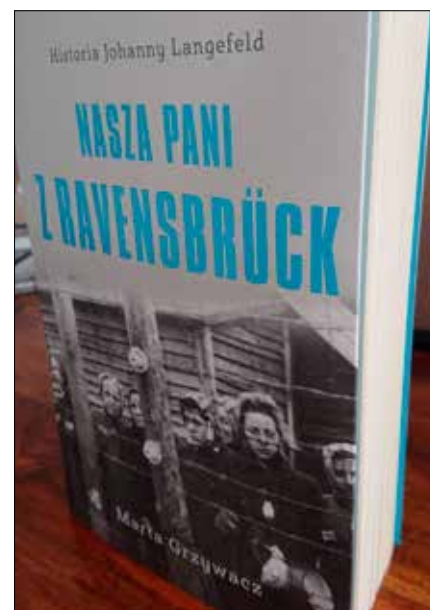
W opowieści o Langefeld nie ma ani jednej zmyślonej rzeczy, wszystko jest tu oparte na faktach, na dokumentach, na pamięci ludzi, którzy mieli (nie-) szczęście ją kiedyś znać. Jest to opowieść o zwykłym życiu zwykłej Niemki, może nawet w jakimś stopniu przyzwoitej kobiety, którą okoliczności zewnętrzne i brak kręgosłupa zamieniły w przestępcę.

Wszyscy wiemy już dzisiaj, że zło tkwi w głębi niemal każdego z nas. Przeprowadzono już wiele eksperymentów – mniej lub bardziej naukowych – na ten temat, wykazano, że niemal każdy tzw. porządny człowiek potrafi zamienić się w cynicznego sadystę, jeśli okoliczności będą sprzyjające. Już Hannah Arendt w swojej słynnej książce o Eichmannie użyła określenia

„banalność zła”. Oczywiście w tamtym przypadku chodziło o to, że nawet będąc urzędnikiem, który nigdy nikogo nie zabił (tak się tłumaczył sam Eichmann) można być odpowiedzialnym za śmierć milionów. Że nie trzeba mieć rąk umoczonych w krwi swoich ofiar, żeby być ich katem.

Wydaje się, że również Johanna Langefeld nikogo nie zabiła. Wręcz przeciwnie, potrafiła swoim więźniarkom okazywać ludzkie uczucia. Na tyle wyraźnie, że w końcu to one, jej ofiary, pomogły jej uciec spod szubienicy. Ale ta książka nie ma na celu jej wybielenia, nie jest próbą obrony. Jest raczej w miarę zimną analizą faktów, zestawieniem ich w taki sposób, żebyśmy sami musieli się zastanowić nad oceną. Żebyśmy sami zdecydowali, albo może tylko zastanowili się, jak my byśmy postąpili w pewnych sytuacjach, jak wciąż w pewnych sytuacjach postępujemy.

Marian Turski, w swoim słynnym wystąpieniu w Oświęcimiu wzywał nas do przestrzegania jedenastego przykazania: „Nie bądź obojętny!” Jakże ważne to przykazanie. Bo właśnie obojętność czyni ogromne spustoszenia. Ci, którzy wzywają do złego, którzy to zło zaczynają wprowadzać, to zwykle jakieś pojedyncze osoby z szalonymi hasłami na ustach. Kilka czy kilkadziesiąt osób hasła te podłapuje i zaczyna powtarzać. My, słuchając ich, wzruszamy ramionami, nie przejmujemy się jakąś grupką szaleńców, mówimy sobie: to jakiś margines, zaraz im przejdzie, zneutralizujemy ich. Ale oni jakoś nie dają się zneutralizować. Wspierani naszym milczeniem są coraz głośniejsi, znajdują „winnych” nieszczęście – w tym i naszych – i świat i jego problemy (nasze problemy) staje się nagle łatwiejszy do wytłumaczenia. Bo to nie my jesteśmy źli czy tylko nieudacznicy, to tamci – inni – są tego przyczyną. Okazuje się, że niezwykle łatwo dajemy się nabrać na ich hasła. I już wiemy, że to Żydzi, postkomuniści, sędziowie, nieheteronormatywni, feministki, ekolodzy, Komisja Europejska albo nawet cała Unia Europejska – listę można wydłużać w nieskończoność – są tym wszystkim naszym nieszczęściom winni. A jeśli nawet my sami nie damy się na to nabrać, to nagle się okazuje, że ci inni mają wpływ na nasze życie. Że już nie możemy się



odezwać, bo grozi nam za to kara; jakieś nieprzyjemności, jakieś wyrzucenie z pracy (czy choćby tylko brak premii), jakieś drobne szkany, odmowa paszportu czy wywiezienie do obozu. Albo zakaz publikacji. Albo może „tylko” epitety rzucane z trybun w naszym kierunku: „nie-Polacy”, „komuniści i złodzieje” itp. A my nic nie możemy już zrobić, bo nasz głos przestał się liczyć. Bo nie zabraliśmy go wtedy, kiedy jeszcze był słyszalny, bo nie zawołaliśmy w odpowiednim momencie: „Dosyć! Tego robić nie wolno!” Bo zlekceważyliśmy wszelkie znaki ostrzegawcze wierząc – jakże naiwnie! – że „przecież nie będzie tak źle, nie może być”. Więc teraz pozostaje nam już jedno: płynąć z prądem i wierzyć, że jeszcze kiedyś się to zmieni, bo zawsze w końcu się zmieniało. A koszty tego czekania? No cóż, przecież i tak nic się nie da zrobić. Demokracja to bardzo delikatny system, który łatwo rozsądzić od środka; wystarczy demagogia wsparta odpowiednią medialną propagandą i masą ludzką, która marzy o potędze swej ojczyzny i której często wystarczy dorzucić trochę kasy na ekstra wydatki, żeby zdobyć jej poparcie w wyborach. Więc jeszcze raz, już na koniec, przypominam słowa Mariana Turskiego: Nie bądź obojętny na drobne, zdawałoby się zło, które obok ciebie się dzieje! Trzeba mu się od początku przeciwstawiać!

Daleko odjechałem od polecanej tu Państwu książki? Ale opisana w niej historia Johannы Langefeld pokazuje, jak łatwo jest przekroczyć linię między byciem obojętnym na zło a samym złem. „Nasza pani z Ravensbruck” jest naprawdę warta przeczytania, o czym świadczą entuzjastyczne wręcz recenzje czytelników na książkowych stronach internetowych.

EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI

Fundacja „hOlendry” skradła serca nowotomyskich harcerzy



KRYSTIAN DYBEK

To był początek wakacji w 2015 roku kiedy gospodarze fundacji „hOlenDry” przywitani nas tak gorąco, że z żalem wracaliśmy do domu – za co serdecznie **DZIĘKUJEMY**. Rozpieszczeni i rozradowani nie tylko odpoczęliśmy, ale też zdobyliśmy nowe sprawności i oznaczenia. Pierwszego dnia kiedy udało już nam się uporać z rozłożeniem namiotów podczas wspaniałego zjawiska pogodowego – **DESZCZU**, doskonaliśmy swoje umiejętności związane z udzielaniem pierwszej pomocy. Myślę, że każdy z nas wyniósł coś z zajęć prowadzonych przez wolontariuszy z ENEA, a ponadto nauczyliśmy się udzielać pierwszej pomocy. Po kolacji i śpiewankach, nadeszła bardzo ważna chwila dla naszych biskoptów. Dzień zakończyliśmy obrzędowym ogniskiem podczas którego rozmawialiśmy o naszej harcerskiej przygodzie i o tym czym dla nas jest harcerstwo. A gdy ktoś spyta piątkę naszych „świeżo upieczonych” harcerzy „Skąd ten krzyż masz na twojej piersi?” Z dumą odpowiedzą mu taki mają najdzielniejsi bo choć mało



mam lat w swych harcerskim mundurze, Bogu, ludziom i Ojczyźnie na ich wieczną chwałę służyć. Kolejnego dnia dowiedzieliśmy się jak żyje się w Holandii, mogliśmy spróbować pierników, ubrać dość nietypowe łyżwy oraz chodaki. Spróbowaliśmy też lepienia z gliny, jednym szło lepiej drugim gorzej, ale mimo wszystko jesteśmy zadowoleni z efektów naszej pracy. A podczas biegu nocnego udowodniliśmy, że swą odwagą i zaangażowaniem jesteśmy gotowi na otwarcie próby na pierwszy stopień harcerski.

Nie był to jednak jedyny biwak w Nowej Róży. Kolejne wakacje również postanowiliśmy rozpocząć właśnie w Nowej Róży.

Harcerze starsi i wędrownicy skupili się na zdobyciu leśnego wampum. Ich zadania były podzielone na 4 części: budownictwo, broń, kuchnia i wiedza. Dzięki temu mogli poczuć się jak Naczelny Skaut Wielkiej Brytanii Bear Grylls. Zbudowali szałas, nauczyli się rzucać dziądą, upiekli jajka na ognisku i zrobili ciasto Bi-Pi. To tylko część z ich zmagania.

Harcerze młodszy pogłębili swoją wiedzę z pierwszej pomocy i z pewnością przy nich możemy czuć się bezpiecznie. Na tym ich doskonalenie się nie skończyło zdobyli również sprawność igielki i higienistki. Zuchy poznały nowy kontynent – Azję w ramach cyklu zbiórek Podróżnik.

Samodzielnie wykonali Mandale, przygotowały napój sporządzany w Mongolii, były zapasy sumo oraz nauczyły się tańca indyjskiego. Nie zabrakło również siatkówki balonowej, która okazała się wspaniałą zabawą w tak upalny dzień. Pani Zosia ponownie przeprowadziła warsztaty o życiu w Holandii. Wszystko to odbyło się w miłej atmosferze wśród zabaw, piosenek i śpiewanek.

Dwa biwaki w Nowej Róży sprawiły, że pomiędzy kadrą drużyn, a gospodarzami terenu nawiązały się przyjacielskie stosunki. Z ogromną przyjemnością odwiedzamy fundację hOlandy aby spotkać się z Panią Zosią czy Natalią i przy ciepłej kawie porozmawiać o tym co słyca u nas. Z poczuciem służby odpowiadamy na wszelkie prośby dotyczące pomocy przy tak malowniczym terenie. To dla nas wielki zaszczyt, że na harcerskim szlaku spotkać mogliśmy tak serdecznych ludzi, którzy zawsze z otwartością odpowiadają na nasze potrzeby.

Wyjątkowym spotkaniem było wspólne ognisko i zabawy nowotomyskich harcerzy wraz ze skautami holenderskimi. Mogliśmy poznać zwyczaje skautowe panujące w Holandii ale także opowiedzieć o tym jak u nas wygląda harcerska służba.

Doskonale wiemy, że przyjaźń ta nie zgaśnie tak szybko, nowotomyscy harcerze mają poczucie, że niedaleko ich miejscowości jest magiczna kraina w której każdy biwak staje się wyjątkowy, nie tylko przez miejsce ale goszczących i serdecznych ludzi. ■

Wiosna – zielono na talerzu



MAREK GRĄDKI

Przyszło nam żyć w ciężkim czasie. Tego nie wolno, tamto zabronione, do tego kaganiec na twarzy. Wszystko to uzasadnione naszym dobrem. Okazuje się, że największym szkodnikiem naszej planety jest człowiek. Natura się zbuntowała i pojawił się dziwny wirus. Nie będę polemizował gdzie i jak i skąd. Jest i musimy go zwalczyć. Dla mnie najgorszym jest brak możliwości kontaktu bezpośredniego z bliźnimi. Stwo-

nią przypadłość zwaną angielską chorobą czyli podagrę. Teraz kiedy wyparła naturalne metody chemia zupełnie o niej zapomniano. Do tego jeszcze jest niezwykle smakowita. Do tych listków dołożymy trochę zielonej bazylii, łatwo ją dostać w każdym markecie, młodej cebulki, kilka ząbków czosnku, orzechów (których? W zależności od preferencji smakowych) i kawałek sera. Mam nad Tobą, Szanowny Czytelniku tę przewagę, że po ten smakołyk udaję się do swojej serowarni i wybieram to na co mam ochotę. Nie będę się jednak pastwił. Dobierz sobie coś do własnego smaku. Teraz potrzebny jest już tylko porządny olej i trochę pracy. Wszystkie te składniki trzeba połączyć ucierając je na jednolitą, zieloną masę. Pozostaje tylko doprawić całość solą do smaku i bazę mamy gotową.

Najprostszy obiad będzie polegał na ugotowaniu makaronu. Najlepsze będzie spaghetti, które przyrządzamy na pół twardo,



rzyliśmy rodzinny biesiadownik, nazwałam go Linie w Ogniu – kuchnia historyczna, miejsce spotkań różnych pokoleń, różnych kuchni, przy czym jak najmocniej zbliżonych do natury, do doświadczeń naszych przodków. Niestety na czas nieokreślony jest zamknięty.

Buntując się przeciwko tym przeciwnostwom losu postanowiłem Ci, Szanowny Czytelniku dać trochę radości, wszak wiosna Panie Sierzancie i pomalować trochę na zielono na talerzu. Przepis będzie bardzo nieskomplikowany, wręcz prosty, każdy będzie mógł go przenieść do swojej kuchni. Wystarczy wyjść do ogrodu i trochę poszukać, trzeba znaleźć taki chwast będący utrapieniem wielu ogrodników. Nazywa się podagrycznik. Roślina to niezwykle pożyteczna, do tego wielce smakowita. Kiedyś leczono

tak by nie było surowe ale i nie za łatwo poddające się naszym zębom. Wystarczy teraz na kopę makaronu wyłożyć kilka łyżek tego pięknego, zielonego sosu, wymieszać tak by jego drobiny okleiły nitki i gotowe. Rzecz naprawdę nieskomplikowana a pyszna, do tego bardzo zdrowa i nietuczająca, na wiosnę jak znalazł. Gdy zostanie Ci po makaronowej uczcie trochę sosu przełóż go do słoika, zostaw w lodówce. Będzie znakomitą dodatkową do każdej potrawy. Ot i tak się rozpisalem, rozżalony w ten smutny czas. Ale mam nadzieję, że wszystko co złe minie i wyjdziemy z tego silniejsi, że jeszcze będziemy mogli się spotkać w gronie rodziny, przyjaciół i pobiesiadować bezpiecznie śmiejąc się z tego paskudztwa. Tego sobie i Tobie Szanowny Czytelniku z całego serca życzę. ■

Nie mów o miłości – poezja śpiewana Grażyny Wojcieszko



ANNA FRANÇOIS-KOS

W tym roku mija 20 lat od chwili wydania jej pierwszego tomiku poezji zatytułowanego „W oczekiwaniu”, w którym znalazł się między innymi ten wiersz:

„Kolejny dzień bez miłości
Przeszedł i cóż mi z tej złości
Na świat na siebie na mierność serca
Uczucia nie zastąpi wola kochania
Może kiedyś nagle przyjdzie sama...”

Dziś wydała już kilkanaście tomików wierszy i opowiadań. Miłość to jednak ciągle jeden z tematów, który regularnie pojawia się w jej poezji. Pojawia się, zostaje, odchodzi, gdzieś tam jest, nawet w tle zupełnie innych motywów literackich. Nic dziwnego, że na 20-tą rocznicę debiutu poetyckiego przygotowała coś zaskakującego, zatytułowanego „Nie mów o miłości”. Świat pełen melodii, harmonii i rytmu.

Nie, to nie tytuł kolejnego tomiku poezji, ale DVD z poezją śpiewaną.

Jak Grażyna sama mówi, miłość to cudowne uczucie, które potrafi pojawić się zupełnie niespodziewanie zmieniając całkowicie nasze życie. To niej opowiada czternaście piosenek na płycie. W lutym pojawił się na YouTube zwiastun teledysku „Nie mów o miłości” z piosenką na bazie tekstu Grażyny Wojcieszko, w wykonaniu muzycznym, wokalnym, gitarowym Remi Juśkiewicza. „Ależ to piękne, co za emocje?” – komentują fani na Facebooku.

Płyta powstała w wyniku współpracy trzech artystów: poetki Grażyny Wojcieszko oraz muzyków Mai Koman i Remiego Juśkiewicza.

Maja Koman i Remi Juśkiewicz pochodzą z odmiennych światów muzycznych, ale łącząc swoje siły pokazali świat pełen czułości i romantycznych wrażeń. Ta zaskakująca mieszanka artystyczna wyróżnia się spójnością stylu, który różni się nieco od tradycyjnej poezji śpiewanej. Autorami muzyki są Maja Koman i Remi Juśkiewicz. Spotykamy tu ele-

menty folkowe, bluesowe a nawet rockowe. Prym jednak wiodą melodia i harmonia, które ściśle współpracują z tekstem. Jeden utwór na płycie gościnnie śpiewa aktorka Małgorzata Kożuchowska, która kibicuje projektowi.

Piosenka zakwalifikowała się do finału III edycji The Voice of Polonia – Międzynarodowego Konkursu Piosenki Po Polsku organizowanego przez Fundację TAK. W czasie koncertowego finału 17 listopada 2019 w prestiżowej sali „Bozar” (Palais des Beaux-Arts) w Brukseli Remi Juśkiewicz wzruszył publiczność do łez.

W międzyczasie pojawiły się na YouTube kolejne teledyski zatytułowane: „Wystawa” (<https://www.youtube.com/watch?v=DJs0g-0Zoadg>) i „Prąd” (<https://www.youtube.com/watch?v=9B2JsMFHin8>)

Premiera DVD miała się odbyć w marcu w Ambasadzie RP w Brukseli. Niestety, o ostatniej chwili została odwołana z powodu „Covid 19” Najprawdopodobniej odbędzie się w październiku! Zbiegnie się zresztą ze specjalnym wieczorem z okazji „20-lecia” wydania pierwszego tomu poezji, który będzie miał miejsce w Krakowie, w prestiżowej „Piwnicy pod Baranami”.

Muzyczny świat Mai Koman to świat podróży w wiele gatunków muzycznych. Teledysk Wystawa, jeszcze niepubliczny, obrazuje klimat współpracy Koman – Juśkiewicz. Pierwsza kompozycja Maii Koman śpiewana męskim głosem Juśkiewicza zaskakuje naturalnością.

Charakterystyczny dla całej płyty jest bogaty, różnorodny wokal: Juśkiewicz, Koman, Kożuchowska. A wszystko łączy Koman bawiąc się na wiele sposobów w chórkach. Nie zabraknie mocnych tekstów jak w piosence „Ostatnie piętro”, ale również muzycznych żartów jak utwór „Królowa” czy łapiących za serce harmonii np. w „Nie mów o miłości” i „Samosiejka”.

Polecam gorąco wysłuchanie i obejrzenie teledysków jak i zresztą całą płytę!!!

ANNA FRANÇOIS-KOS

Grażyna Wojcieszko

Poetka, tłumaczka, autorka tekstów piosenek.

Należy do najczęściej tłumaczonych współczesnych poetek polskich. Laureatka wielu ogólnopolskich konkursów lirycznych. Debiutowała w 2000 roku tomikiem W oczekiwaniu.

Długie pobyty w Borach Tucholskich natchnęły ją do napisania wierszy zebranych w tomach Sen o tramwaju (2013), Zaklamanie (2016) i zbioru opowiadań Animalki

(2018). Edycje francuskie Rêve de tramway i Envoûtement, do których utwory na język francuski przetłumaczył Alain van Crugten, wiążą się z inicjatywą Collection Planètes skupiającą wybitnych poetów z różnych stron świata. Seria ukazuje się pod szyldem paryskiego wydawnictwa Éditions Caractères.

Ma w swoim dorobku sześć tomów poetyckich.

„Wiersze przychodzą do mnie same. Nie wiadomo skąd. Tak jak uczucie albo sen. Nie ma nic i w jednej chwili jest. Czuję jakąś energię, ogarnia mnie, a potem zamienna się w słowa. Nie ważne czego dotyczy, ważne, że zawsze prosto z wnętrza, intuicja tworzy każdy wiersz. Kiedyś nieświadoma procesu, dziwiłam się skąd ta potrzeba zapisania emocji. Dziś fascynuje mnie. Moje książki – muzea uczuć, z eksponatami w postaci indywidualnego ładunku dla czytelnika – portretują wybrane przez intuicję sceny”

Tom Sen o tramwaju wydany został wraz z audiobookiem, w którym aktorskiej interpretacji wierszy w wykonaniu Anny Romanowskiej (wersja polska), i Stéphane Excoffier (wersja francuska) towarzyszy tło muzyczne Adama Prucnała. Wiersze Grażyny Wojcieszko też zainspirowały Pawła Deskę — artystę, który stworzył dwie animacje filmowe Chabry i maki oraz Kim jesteś. Te zaś stały się kolejnym bodźcem dla Mai Koman — autorki wideoklipu muzycznego przygotowanego



Remi Juśkiewicz z Grażyną Wojcieszko podczas kręcenia klipu „Nie mów o miłości”

na postawie francuskiego tłumaczenia utworu Odlatując (L'envole).

Poetka to absolwentka Studium Literacko-Artystycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z wykształcenia magister informatyki oraz sztucznej inteligencji, absolwentka prestiżowych francuskich uniwersytetów: Paris-Sud i Pierre-et-Marie-Curie; przez 25 lat zatrudniona w Komisji Europejskiej w Brukseli zarządzała projektami naukowo-badawczymi. Obecnie zarządza Fundacją czAR (T) Krzywogóńca — miejscem spotkań twórczych i działalności artystycznej.

Strona poetki www.grazynawojcieszko.eu

Maja Koman

Niepokorna, nieprzewidywalna, nietuzinkowa. Intrygująca artystka o wielu twarzach. Śpiewa, pisze teksty, aranżuje i komponuje, czarując głosem i słowem.

W swojej twórczości czerpie z wielu dziedzin sztuki, a jej muzyka jest nierozłącznie związana ze sferą wizualną dlatego wymyśla i reżyseruje teledyski – swoje i innych artystów. Swobodne łączenie i mieszanie ze sobą różnych dziedzin sprawia, że każdy z projektów Koman jest eklektyczny i niepowtarzalny.

Na rynku muzycznym zrobiło się o niej głośno, gdy w 2014 wydała swoją debiutancką, świetnie przyjętą płytę „Pourquoi

pas” (Warner Music Poland). Melancholijne brzmienia i przewrotne, oryginalne teksty w języku polskim, angielskim i francuskim podbiły serca publiczności i krytyków. Płyta została nominowana do Fryderyka w kategorii Fonograficzny Debiut Roku.

W 2016 roku ukazała się druga płyta Koman: „Na supelek” (Warner Music Poland) to album niezwykle energiczny, zróżnicowany i w całości polskojęzyczny. Znajdziemy na nim szczere, kontrowersyjne teksty, które stały się znakiem rozpoznawczym artystki oraz liczne eksperymenty z wokalem i muzyką. W 2018 artystka wydała trzecią płytę „Mirror” (Warner Music Poland), na której zaprezentowała inne, liryczne oblicze ocierające się brzmieniowo o muzykę filmową.

Kolejny projekt artystki „Monster” (Digital Independent) to owoc jej pracy z producentami muzyki elektronicznej i klubowej. Nowe utwory poruszają przede wszystkim ciała. Ukłon Koman w stronę jej największej, pozamuzycznej pasji – tańca. Tak jak na poprzednich płytach, znajdziemy tu chwytliwe refreny, ciekawe teksty i odważne klipy tym razem jednak w zupełnie innej odsłonie.

Remi Juśkiewicz

Muzyk, kompozytor, aranżer, multiinstrumentalista i wokalista, od 16 lat

mieszkający w Londynie. Od dzieciństwa związany ze środowiskiem scenicznym i estradą. Jego pierwszym instrumentem był akordeon. Skończył studia na wydziale Songwriting’u, czyli pisania piosenek, w BIMM The British and Irish Modern Music Institute w Londynie. Od września 2019 jest studentem w Kingston University w Londynie, na wydziale Produkcji Muzycznej (MMus in Production of Popular Music Cours).

Remi jest kompozytorem wielu piosenek, które są owocem bliskiej współpracy z poetami polskiej emigracji, głównie z Wielkiej Brytanii: Wiesław Fałkowski, Dorota Górczyńska – Bacik, Aleksy Wróbel ale także z poetką, która ponad 30 lat spędziła w Belgii i Francji: Grażyną Wojcieszko oraz mieszkającymi w Polsce: Marią Duszką i Adamem Gwarą.

Od zawsze zafascynowany zespołem „The Beatles”, ale również jako źródło inspiracji wymienia amerykański folk, bluegrass gospel, country, a obok wielkiego Boba Dylana pojawia się, równie wielki – Czesław Niemen, którego białoruskie i rosyjskie pieśni ludowe śpiewane z akompaniamentem gitary, utkwiliły mu w świadomości i kształtowały jego estetykę muzyczną. ■

Lipa



GRZEGORZ WORWA

*Gościu, siądź pod mym liściem,
a odpoczni sobie!*

*Nie dojdzie cię tu słońce,
przyrzekam ja tobie,
Choć się nawyśzej wzbije,
a proste promienie*

*Ściągną pod swoje drzewa
rozstrzelane cienie.*

*Tu zawždy chłodne wiatry z pola zawiewają,
Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają.
Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły
Biorą miód, który potym szlachci pańskie stoły.
A ja swym cichym szepem
sprawić uniem snadnie,
Że człowiekowi lacno słodki sen przypadnie.*

*Jabłek wprowadzie nie rodzę,
lecz mię pan tak kładzie
Jako szczerp napłodniejszy
w hesperyskim sadzie.*

Któż z nas nie zna tego wiersza naszego poety Jana Kochanowskiego? Wszyscy znamy. Wiemy także, jak dobrym remedium w czasie przeziębienia jest herbatka lipowa, i jak smaczny jest miód lipowy. Wspaniałe drzewo. To wszystko wiedziałem mieszkając w Polsce. Natomiast zapach kwitnącej lipy, ten cudowny aromat, który rozmiłowuje organa wężu poznałem dopiero w Nowym Jorku, gdzie mieszkam. Piszę te słowa, gdy letni czas kwiatu lipy nastąpił. Niestety, nie mogę się oderwać w tym roku pełną piersią. Wiadomo dlaczego. Wszyscy wiemy od Osaki po Seattle. Chociaż nie wiem, czy w tych miastach kwitnie lipa. Kwitnie wiśnia. W Osace. Też pięknie.

Ale lipa, ten romantyczny zapach, gdy człowiek spaceruje wieczorową, ciepłą porą, w dodatku z kimś bliskim sercu, nie ma sobie równego.

Są takie aleje lipowe w Nowym Jorku, które łatwiej skłaniają jedne ręce ku drugim, i serc bicie przyśpieszają. Że trudno sobie wyobrazić takie aleje w stolicy świata? Ależ tutaj jest wszystko. A jeśli wszystko, to i drzewa lipowe, i pszczoły, które także kochają ten nieporównywalny zapach.



Zastanawiające, dlaczego na coś kiepskiego czasem mówi się, że to „lipa”, że jest „lipne”. Skojarzenia takie są nie w porządku dla tego wspaniałego drzewa, które jest tak dobrotliwe dla człowieka. Czy policzył ktoś ile trwałych związków zainspirowała lipa, w której cieniu zatrzymywała gościnnie? Niepoliczalnie. Tak wiele. Lipa daje też szczególną energię. Trzeba ją tylko objąć swoimi ramionami, tulić do niej. Nawet w ciszy. Lipa daje, ale też potrzebuje uczucia. Możecie doświadczyć tego już w przyszłym roku.

Tymczasem smakujcie miód lipowy. Doskonali z sokiem cytrynowym i odrobiną cynamonu.

NOWY JORK ■

Morze



ALEK SILBER

Zycie niczym dzień: rano wstajesz i nie zważasz na chmury. Spoglądasz w górę z nadzieją, że wkrótce wyrzy słońce, by rozjaśnić ziemię. Wierzysz i czekasz. I rzeczywiście, z południa nadchodzi wiatr, rozdmuchując groźne barany w małe stadka. Pod błękitnymi plamami nieba woda zmienia barwę z szarawej zieleni w głęboki szafir, a w górze pojawiają się białe ptaki.

Ruszasz w podróż. Łódka cichutko przecina falistą toń, pozostawiając za sobą długi ślad na wodzie. Wiosło, niczym wiatrak kręci się miarowo, popychając łódkę do przodu, ku nieznanemu lądowi. W każdym ruchu czujesz napięte mięśnie posłuszne twojej woli. Na ramionach kropelki wody zasychają płamkami soli. Ogarnia cię osobliwe uczucie, stajesz się cząstką harmonijnej całości, w niej: niebo łaciate, morze, daleki ląd, a pośród nich ty. Cóż za wspaniały kwartet! Lecz nie wolno ci w nim zagrać fałszywego tonu, każda nuta musi zabrzmieć czysto i prawdziwie.

Oddajesz się muzyce całkowicie, grasz i nasłuchujesz. Wietrze, nie wiew, bo mnie nie powstrzymasz! Falo, nie uderzaj, bo budzisz mój śmiech! Ziemi, nie uciekaj, bo i tak cię doścignę! I gna twoja łódka do nieznanego lądu, aż niknie dzieląca przestrzeń, a upragniona ziemia staje się rzeczywistością.

Z dala, otwarta jama grotu kusi nieznanym. Fala głośno uderza o wielkie głazy, odbija się i powracając napotyka następną. Tak się zmagają, stają dęba i ostatecznie obie ulegają trzeciej, silniejszej fali. Cała zatoczka pokryta jest lasem wichrowatych grzyw z białymi czapkami piany. Za nimi fascynująca czeluść grotu. W górę, w dół, w lewo, w prawo, woda przelewa się przez burty. Bez reszty oddajesz się zabawie w pozostanie na powierzchni. Jeszcze ta wzburzona paszcza i już jest chłodno i głośno od fal. Blisko ścian jest niebezpiecznie, można się roztrząscać, więc trzymaj się środka.

Dobijasz do brzegu, wychodzisz z łódki. Pod stopami ostre kamienie. Siadasz i słuchasz. Słuchasz i patrzysz. Na rozhuwane fale, wiekowe kamienie, na szumiącą pianę i grotową aulę, w której mieszka Neptun i jego świta. Kłaniasz się uniesieniu i prosisz o bezpieczną drogę do domu. Król każe ci podejść bliżej i łagodnym gestem okazuje znak aprobaty przełykając ślinę pokornie pochylasz głowę dziękując za łaskę władcy. Audjencja skończona, możesz odplłynąć. Droga bezpieczna.

Ostrożnie wypływasz z grotu, znów na otwarte morze. Łódka sunie posłuszna twojemu wiosłu. Wsłuchujesz się w dźwięki ulubionego kwartetu i choć są piękne,

pragniesz więcej, chciałbyś usłyszeć tony jeszcze czystsze, bardziej subtelne, aby ich harmonii nie zakłócały najmniejsze szmery. Pozostawiasz łódkę na przystani, by resztę drogi przebyć płynąc wplaw.

Jest wszystko: dłonie prujące fale, wolność, siła, upojenie i krystaliczny błękit. Wtedy wiesz, że żyjesz, że nic nie stanie na przeszkodzie. Nic się nie przemknie pomiędzy palcami, które uchwycą tę bajeczną toń. Stajesz się częścią wielkiego, milczącego świata. Czujesz każde muśnięcie fali. Dostrzegasz najsubtelniejsze odcienie błękitu. Słyszysz każdy plusk. Nawet ryby nie uciekają, akceptując cię w swoim królestwie. Jesteś królem, panem i władcą. Nikt tu niczego nie kwestionuje i nie wymaga, nic nie jest w stanie cię zawieść, ani ty nikogo. Jest to ta jedna z tych chwil, w której czujesz się u szczytu. Jeśli ty nie zakłócisz ciszy, nie zrobi tego nikt.

I gdy już myślałeś, że osiągnąłeś apogeum ludzkiego doznania, los zgotował ci jeszcze wspanialszą ucztę. Bo oto słońce chyli się ku zachodowi i zawisa nad horyzontem ogromną, złocistą kulą, pulsującą czerwienią i pomarańczą. I płyniesz prosto w tę gorejącą tarczę już nie po wodzie, lecz po migającym kalejdoskopie barw. Pod powierzchnią błękitu i szafiry o źródlanej przejrzystości, a kiedy oczy wynurzają się nad wodę, promienie słońca mieniają się tysiącem pulsujących błyskotek, wyznaczając złocisty szlak, cały dla ciebie. Nie wiesz, jak długo trwa ta czarodziejska podróż. Nie ma tu bowiem czasu ani przestrzeni. Odnosisz wrażenie, że się przybliżasz, wydaje ci się, że za chwilę, ot



Fot. Kamil Kotbasiuk

tuż, tuż, wyciągniesz dłoń i dotkniesz kulę złością. Oczarowany chwilą, nie oglądasz się za siebie, nie wiesz gdzie ląd i szarość...

Nagle niebo przesywa złowrogą błysk, pojawiają się czarne chmury i chłodny wiatr. Unoszą się fale, znika szafirowy błękit, odlatują białe ptaki. Po odmienionej scenarii wielkiego amfiteatru z hukiem przewalają się groźne odgłosy piorunów. Spadają pierwsze krople, pac, pac – mokre, duże, rześiste. Głośny huk. Uderzyło tuż obok. Deszcz rozgaszczają się na dobre. Teraz już nie ma odwrotu, nie ma nadziei na słońce. Całe niebo, od horyzontu do horyzontu, jest czarne. Krople stają się szybsze i częstsze. Szara woda pokrywa się ostrym jeżem deszczu.

Płyniesz na złość Neptunowi, w fale, w deszcz. Deszcz, który nie moczy, zimno, które nie chłodzi, burza, która cieszy. O rozkoszne fale, z jakim uwielbieniem rzucam się w waszą mroczną toń! O wielkie, rozhułkane morze, bez głów, bez łodzi, bez nart wodnych! Nurkujesz, igrasz ze spienionymi bałwanami. Patrzysz na szary kolor, który jest piękny. Woda zdaje się przelatywać przez całe ciało; uszami, nosem, oczyma. Stajesz się jej częścią. Niech grzmi, niech huczy, niechaj się pieni. Do przodu, raz – oddech, dwa – oddech,

rytmicznie, niewzruszenie, nonszalancko, górą, dołem, do przodu, wbrew wszystkiemu, na przekór żywiołom, poprzez życie.

Życie.

Aż musiałeś wrócić z krainy baśni, do domów, do ludzi, do rozkrzyczanych odbiorników. Zamilkła pieśń na ustach, a na jej miejsce przyszło zmęczenie. Ucichł kwartet, zniknęły instrumenty. Odeszła ziemia nieznaną. Jedynie morze pozostało.

Nic to. Jutro znowu zabrzmi muzyka, odnajdzie się kwartet, znowu natchnienie dokonania cudów. Ale na jak długo? Czy pojutrze też, a za rok, za dwa? A może kiedyś spowszednieje błękit morza, przestaną śmieszyć figlarne fale, może bajeczny kwartet pójdzie do lamusa i będzie się poniewierać wśród starych rupieci, niepotrzebny i zapomniany.

A może nie będzie tak źle, może się kwartet zakonserwuje, postawi w gablocie, jako relikwiarz przeszłości, dobre, pocziwe wspomnienie. Kurz z gabloty wycierany będzie regularnie, acz bezwiednie.

Nie! Ty, który prowadzisz kwartet, nie pozwól! Niech żyje, dziś, jutro, za rok i za dziesięć. Niech zawsze cieszy błękit, niech zawsze śmieją fale, niech ziemia nieznaną zawsze kusi swą dziewiczością. Jeśli tego nie

potrafisz, to przegrałeś. Bo jeśli nie potrafisz poprowadzić małego kwartetu, to jakie masz szanse grania w dużej orkiestrze zwanej życiem? Dlatego broń się, trzymaj swą łupinkę na powierzchni, bo inaczej utoniesz.

Nadszedł wieczór. Zmęczył się Neptun, ucichło morze. Wiatr udał się na spoczynek, pozostawiając żagle na łaskę losu. Spoza chmur wyszedł księżyc i rzucił swój długi blask na łagodnie pomarszczoną taflę wody. Opustoszały plaże, przycichły krzyki. Patrzysz na wodę i myślisz o domu, bliskich, o tym, że to tak daleko, samotnie.

Czy można inaczej? Rozważasz możliwości, szukasz rozwiązań kompromisowych. Niestety, wszystkie mają kolor tego morza. Czepiasz się najmniejszego blasku, śladu księżycy, smugi, płomyczka. Nic nie znajdujesz. Tak, jak nie znalazłeś wczoraj i, jak nie znajdziesz jutro, mimo że rano woda będzie błękitna. Odchodzisz z pochyloną głową. Klniesz to pieprzone morze i księżyc, i blask nie twój. Chcesz uciec od nocy, chociażby snem. Nie, nie chcesz snów, dosyć było żłudy. Niech będzie najgorsze, ale prawdziwe. Takie, jakie jest, nawet jeśli ma kolor morza w chmurną noc.

MELBOURNE

Stary zegar



JERZY SKOCZYLAS

Mój stary zegar wiele lat widokiem oko cieszył, wybijał rytm powszednich chwil, ale troszeczkę spieszył. Więc gdy budziłem rano się, kwitnący lub wypłuty, cofałem mu na tarczy czas circa o dwie minuty. Zegar przyjmował zabieg ten z życzliwym zrozumieniem i miło rewanzował się tykaniem i dzwonieniem. Współpraca układała się wzorowo nam, dopóty, któregoś dnia ująłem mu nie dwie, lecz trzy minuty. I kiedy przy śniadaniu już piłem poranną kawę mój nastrój nagle zmienił się

i zdałem sobie sprawę, że wstąpił we mnie nowy duch, mam uśmiechniętą minę, czuję się zdrowszy, pełen sił i młodszy odrobinę. Skąd taka zmiana, napływ sił, chociaż pogoda szara, czyżby radosny, rześki stan zasługą był zegara? Nazajutrz, gdy zbudziłem się, szybciotko, w lekkim stresie cofnąłem zegar nie o trzy, ale o minut dziesięć. Natychmiast zastrzyk świeżej krwi wypełnił moje żyły, zniknął mi brzuch, zjeżył się włos, mięśnie się naprężyły. Biegiem do lustra, a tam szok, facjatę swą ujrzałem i w piersiach mi zaparło dech ... O matko! Odmłodziłem! I w głowie zaświtała myśl: – a co się będę pieścił, cofnąłem na zegarze czas prawie minut trzydzieści. I jeszcze większy wigor, żar, z wrażenia oniemiałem, czułem, że mi ubyło lat, skakałem i śpiewałem.

Ciągoty ogarnęły mnie frywolne i kosmate, żeby obdzwonić kilka dam i ściągnąć je na chatę. Do dyskoteki wybrać się na ostre balowanie, lub do nocnego pubu wpaść i dać okrutnie w banię. Było cudownie, ale myśl jak kornik mózg drążyła: – a jakby jeszcze ujął lat? Ciekawość zwyciężyła. I chcąc zobaczyć jakie los stworzy przede mną szanse, cofnąłem na zegarze czas, o całe trzy kwadransy. I stała się potworna rzecz, zatrzęsła się maszyna, mój zegar jęknął, stęknął, i strzeliła w nim sprężyna. Jak bańka prysł młodzieńczy czar i stan wspaniałej formy, zmarniałem, zwiędłem, a mój świat wrócił do szarej normy. Więc każdy kto chce cofać czas, niech zbytnio nie przegina, bo jak przesadzi tak jak ja, to pęknie mu sprężyna.

Jak imć pan Onufry Zagłoba królowi szwedzkiemu Niderlandy ofiarował



TADEUSZ RAWA

A było to tak: 24 lutego 1656 roku pod Zamość podeszły wojska szwedzkie dowodzone przez Roberta Douglasa, żądając poddania miasta. Zamość był w tym czasie jedną z trzech twierdz, obok Gdańska i klasztoru na Jasnej Górze, będących na terenach zajętych przez Szwedów, które przez tych Szwedów nie zostały zdobyte.

Będąc własnością Jana „Sobiepana” Zamojskiego, wnuka słynnego kanclerza, miasto było doskonale ufortyfikowane. Zamojski odmówił i nie zrobiła na nim nawet wrażenie kanonada szwedzkich armat, która zresztą nie wyrządziła większych szkód.

27 lutego pod miasto przybył sam król Karol Gustaw z 18-tysięczną armią, ale i to nie zrobiło wrażenia na Zamojskim.

Szwedzi spróbowali więc pochlebstwa. Wysłannik króla, generał Forgell, w zamian za poddanie miasta zaoferował Zamojskiemu województwo lubelskie jako dziedziczne księstwo.

I tu wchodzi literatura: według Sienkiewicza stojący obok Zamojskiego pan Onufry Zagłoba miał szepnąć magnatowi: „Ofiaruj, wasza dostojność, królowi szwedzkiemu w zamian Niderlandy”. Co Zamojski uczynił, konfundując niemało posłów szwedzkich i wywołując salwy śmiechu wśród zgromadzonych polskich dworzan i oficerów.

Sienkiewicz powtarza ową anegdotę po Wespazjanie Kochowskim, pisarzu ówczesnej epoki, jednak poważni historycy nie potwierdzają jej.

Tak czy inaczej, Zamojski skusić się nie dał i stanowczo odmówił poddania miasta. Nie mając ciężkich dział oblężniczych, Karol Gustaw odstąpił od oblężenia, a w przeciągu kilku miesięcy wycofał główną armię z terenów Rzeczypospolitej. Wojna ze Szwecją zakończyła się dopiero cztery lata później, podpisaniem traktatu pokojowego w Oliwie w 1660 roku.

A Niderlandy, no cóż, nigdy się nie stały częścią Szwecji. ■

Alicja Grygierczyk

List do Stwórcy

Dziękuję ci Stwórco, za moje istnienie.

Poskładałeś mnie z kawałków mych przodków,

z ich łez, ich radości, trudnych charakterów,

tak pełnych miłości, nie odkrytej przez nich.

Poskładałeś mnie z ich traum i ich trudów.

Jest we mnie przez nich uprawiana ziemia,



pasące się krowy, skoszona pszenica.

Jest w złości złamana przez babcię kłonica.

Jest pot mej prababci, lekkomyślność dziadka,

śmierć jego matki, zostawione dzieci.

Jest los ich wojenny; głód, nienawiść, ból istnienia,

i ich upadki, i powstania bez błogostawienia.

Dziękuję Ci Stwórco za to moje życie od nich wychodzące,

za ten bagaż ciężki, rozpacz która była,

za siłę przodków, która nie odkrytą przez nich miłość,

już we mnie odkryła.



Wakacje

JOLANTA ŻÓŁKOWSKA

Zastanawiałam się zawsze czy małżeństwa powinny razem spędzać wakacyjny czas. Czy nie lepiej odpocząć od siebie. Każdy wyjeżdża w swoją stronę i jest szczęśliwy. Pomyślcie nie da się pogodzić dwóch różnych kierunków wyjazdów. Jedno uwielbia morze a drugie góry. Chyba że jest to wypad do Malagi gdzie mamy i jedno i drugie. Ogólnie uważam że najlepiej odpoczywać oddzielnie. I to najlepiej żeby małżonkowie wyjeżdżali w tym samym czasie. Doświadczenia mówią że facet pozostający w domu przez dłuższy czas nie wróży niczego dobrego. Słomiany wdowiec. Nie jedna kobieta tego doświadczyła i wie że to co może zastać po powrocie ze swojego wojażu to ogólnie rzecz biorąc, pobojuwisko. Wchodzi taka nieszczęsnica do swojego mieszkania i już od progu zastanawia się czy przypadkiem nie pomyliła adresu. Niby wszystko się zgadza, dom stoi na swoim miejscu. Ogród nieco zarósł chwastami. Ale to normalna. Trawa po pas. Ale to co zazwyczaj zastaje w domu to przechodzi wszelkie wyobrażenie. Oczywiście są tacy mężczyźni tak zwani pedanci którzy nie pozostawiają na stole talerzy każdy okruszek na stole budzi w nich obrzydzenie. Wszystko jest na swoim miejscu i ustawione w żołnierskim porządku. Ale to raczej zdarza się rzadko. Znajoma opowiadała mi jak po dłuższej nieobecności wróciła wypoczęta, opalona pełna radości do domu a tam zastała wannę wypełnioną po brzegi wszystkimi możliwymi naczyniami. A wszystko pozasychane z resztkami jedzenia. Kuchnia



Jolanta Żółkowska

Fot. Józef Mika

wywędrowała do łazienki a nad całością unosił się niewyobrażalny smród. W kuchni królował jeden kubek. Trafił ją szlak, cały wypoczynek diabli wzięli.

Ona – Kochanie? Powiedz mi z łaski swojej jak ty się kapałeś podczas mojej dwutygodniowej nieobecności?

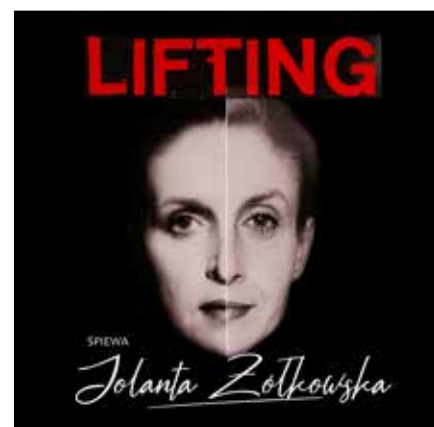
On – Normalnie, nie miałem z tym problemu, przed twoim powrotem wrzuciłem brudne talerze i garnki do wanny żeby się namoczyły zanim wstawie je do zmywarki.

Ona – Dlaczego więc ich nie wstawiłeś?

On – Pomyślałem że jak wrócisz to będziesz miała zajęcie. A poza tym ty to zrobisz najlepiej. Wiem jaką jesteś higienistką.

I co nie zamordować takiego faceta? Zastrzelić w nocy z łuku żeby nie obudzić sąsiadów? Ręce opadają. Baba zakasała rękawy i wzięła się do roboty bo niby co miała

zrobić? Dwutygodniowy wypoczynek diabli wzięli. Tak więc zastanawiam się czy lepiej wakacje spędzać razem czy też osobno? ■



Od redakcji:

Tekst „Wakacje” to fragment z nowego monodramu Jolanty Żółkowskiej, aktorki, która w 2009 roku wystąpiła w Holandii na zaproszenie Sceny Polskiej w monodramie „Lifting”. Zanim Jolanta Żółkowska wystąpi w Holandii z nowym monodramem pod roboczym tytułem „Instrukcja obsługi faceta”, zapraszamy do posłuchania płyty z piosenkami w jej wykonaniu i z muzyką Piotra Golli zatytułowanej „Lifting”. Okładkę zaprojektował Kamil Kołbasiuk. Płytę można zamówić pisząc na adres Kamila Kołbasiuka uplifted@wp.pl lub FB Jola Żółkowska.



Z publicznością w Holandii (2009 r.)

fot. SP

Zamknięte progi „gigantycznej księgarni” w Warszawie



**MAGDALENA
PIGNARD-BYKOWSKA**

Załem należy odnotować, że w 2020 roku tradycyjne majowe spotkanie z książką w Warszawie, z powodu paraliżującej świat zarazy, nie doszło niestety do skutku.

Przyjazd do Warszawy na odbywające się już od kilku dziesięcioleci Targi Książki stał się ważnym momentem „powrotu do źródła” dla nas wszystkich, rozsiansych po świecie piszących Polaków.

Dziesięciokrotnie już stowarzyszenie A.P.A.J.T.E znalazło się wśród liczącej ponad siedmiuset uczestników z Polski oraz 19 krajów świata rzeszy wystawców na Warszawskich Targach Książki.

W 2010 roku wystawialiśmy książki autorów A.P.A.J.T.E wspólnie z londyńskim Związkiem Pisarzy Pol-



Magdalena Pignard-Bykowska

skich na Obczyźnie w Pałacu Kultury. Na własnym stoisku wystawialiśmy już w 2011. Następnie w 2012 roku odkryliśmy Stadion Narodowy w Warszawie. Była to nowa lokalizacja, bowiem Pałac Kultury okazał się za mały by przyjąć wciąż nowych wystawców. Stoisko opłacamy z funduszu naszego stowarzyszenia, którego źródłem są składki członkowskie. Korzystamy nie tylko z witryny, jaką jest stoisko. Figurujemy oczywiście w katalogu targów, na równi z innymi wystawcami dysponującymi dużymi powierzchniami wystawienniczymi oraz środkami na dodatkową reklamę.

Fakt wpisu w katalogu nie jest bez znaczenia. Informacje o stowarzyszeniu zawarte w prezentacji na stronach katalogu stają się pomocne w nawiązywaniu kontaktów z czytelnikami przybywającymi z różnych zakątków świata do „gigantycznej księgarni” w Warszawie.

Katalog nie jest jedynym przewodnikiem dla licznie przybywających amatorów czytelnictwa na WTK. Rozlegające się informacje i zapowiedzi wskazują stoiska, gdzie autorzy aktualnie podpisują swoje książki. W ciągu czterech dni książki leżą na półkach i są dostępne dla czytelników.

Zgodnie z przyjętym statutem, jednym z celów Stowarzyszenia jest promocja prac związanych z polskim piśmiennictwem, a więc zarówno dzieł literackich jak prac dziennikarskich i przekładowych. Na stoisku A.P.A.J.T.E prezentujemy publikacje naszych członków: pisarzy, poetów, eselistów, autorów opracowań specjalistycznych, dziennikarzy prasowych oraz tłumaczy.

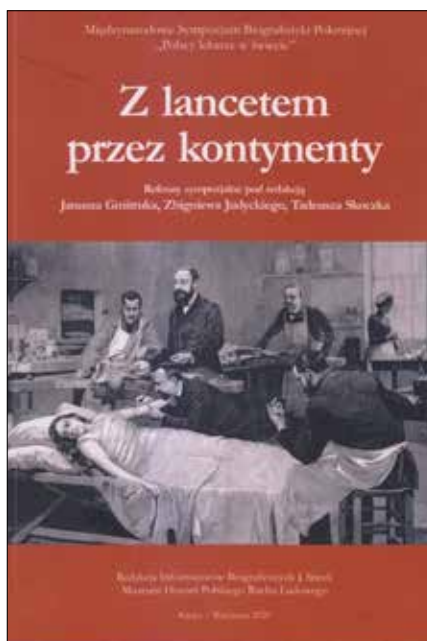
Autorzy, współautorzy i tłumacze zgłaszający udział w WTK przywożą lub przesyłają publikacje wydane we własnym zakresie. Na przestrzeni 10 lat byli to, m.in.: Bogna Baczyńska, Barbara Banasik, Bolesław Bieniasz, Magdalena Bykowska, Sabine Cheron, Barbara Contamin, Jadwiga Dąbrowska, Isabella Degen, Irena Duchowska, Stanisław Gaczol, Aldona Gawecka, Claude Hagège, Sławomir Indyk, Iwona Jańczy, Mariola Kaczyński, Agata Kalinowska-Bouvy, Danuta Agnieszka Kiełkiewicz, Bożena Kilanowski, Jerzy Kissoń-Jaszczyński, Anna Kubaczyńska, Krystyna Mazurówna, Maciej Morawski, Mirosława Niewińska, Edward Papalski, Diana Pignard,



Promocja książki pt. „Cmentarze polskie na Uralu i Syberii” – Diana Pignard i Sergiusz Leończyk



Leopold Płowiecki, Józef Rośliski, Zbigniew Roth, Jadwiga Rudnicka, Andrzej Skibniewski, Jan J. Sobczyk, Tadeusz Sobieraj, Joanna Sokołowska-Gwizdek, Irena Sturm, Jerzy Tuszewski, Wiktoria Władkowski, Hanna Zaworonko.



Należy dodać do tej listy katalogi sztuk wizualnych – autorzy: Aliska Lahusen, Gabriela Morawetz, Piotr Strelnik, Czesław Zuber.

Na półkach stoiska można było zapoznać się z drukowaną prasą polonijną: „Głos

katolicki”, „Jupiter”, „Scena Polska w Holandii”, „Jongler” oraz „Rodacy z dalekiej Syberii” czy „Gazeta Petersburska” z Rosji.

Wpis do katalogu oraz napis na stoisku pt. A.P.A.J.T.E Éditions wskazuje na fakt statutowej działalności wydawniczej stowarzyszenia.

Od 2014 następujący autorzy wydali książki z ISBN oraz logo A.P.A.J.T.E, które znalazły się na półkach Warszawskich Targów Książki: Jolanta Horodecka-Wieczorek, Sergiusz Leończyk, Danuta Mucha, Diana Pignard, Emilia Tomecka. Dwie publikacje autorstwa Sergiusza Leończyka pt. Cmentarze polskie na Uralu i Syberii oraz Emilii Tomeckiej pt. Miejsce Polaków w życiu współczesnego austriackiego kościoła katolickiego, zawierają streszczenia w języku francuskim z udziałem Diany Pignard.

Rokrocznie wystawiamy również nowości wydawnicze autorstwa prof. Zbigniewa Judyckiego, jednego z założycieli, ćwierć wieku temu, Stowarzyszenia A.P.A.J.T.E, wyd. Fundacja Polonia Semper Fidelis.

TRZY KORONY 2020

1.

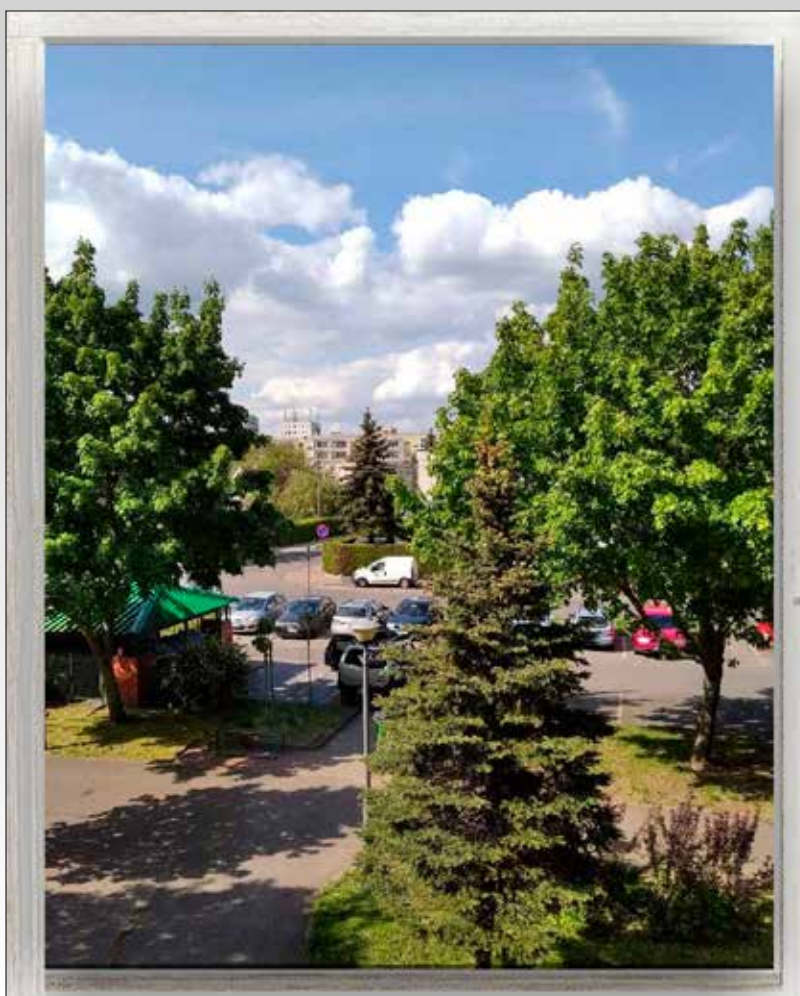
Jak niedokończony film – przed snem
Jak niedokończony sen – przed dniem
Jak sobotnia myśl indyka – na niedziele
Tak plany na życie – przed zarażeniem
2.

Świat w każdym zakątku wirusem sypie
Na chwilę widzenia nie może nikt przyjść
Ku żadnej wolności nie da się wybiec
Pozamykano nam wszystkie drzwi

Jedynie okna jeszcze pod kontrolą
Jak widokówki przysyłane z bliska
Obłoki nań płyną a drzewa stojąc
Czekają abym nareszcie wyszła
3.

I Ty możesz mieć koronę
Starczy podejść w tamtą stronę
Gdzie ktoś już koronowany
Sieje koron całe łany

Danuta Ławniczak – kwiecień 2020 r.



Życie z SM w obiektywie



WOJCIECH ZIELIŃSKI

Świat, Europę, Niderlandy, Polskę zaatakował koronawirus. Epidemia COVID-19 nie tylko utrudniła dostęp do świadczeń zdrowotnych, ale także zmusiła wiele osób do izolacji, zwiększyła poczucie osamotnienia i nasiliła obawy o przyszłość. Zostaliśmy uwięzieni we własnych domach. Pozostało oglądanie otaczającego nas świata przez okno. Na ulicach, placach zabaw nie widać ludzi. Jak długo można wytrzymać w takiej izolacji? COVID-19, SM, żadna z tych chorób nie może nas sparaliżować.

Od 42 lat zmagam się z chorobą stwardnienie rozsiane (SM), a od 20 lat poruszam się wyłącznie na wózku inwalidzkim mimo wszystko nie rezygnuję z aktywności. Ktoś powie, nieszczęśliwy człowiek. Nie, jeszcze raz mówię nie, wprawdzie poruszam się na wózku, ale jestem szczęśliwy. Wiele osób zmagających się z SM leży w łóżkach, nie dostali zakazu opuszczania domu, jednak nawet nie podchodzą do okna, aby zobaczyć te puste ulice i place zabaw, patrzą w sufit i oglądają ściany własnego pokoju. Jeśli ma się motywację i kogoś u swojego boku nie musi tak być. Podczas epidemii patrzyłem z balkonu na pusty plac zabaw. Nie mogłem doczekać się końca zniesienia zakazu opuszczania naszych mieszkań, bowiem najlepiej czuję się



na łonie natury, kwieciste łąki, wspaniałe rozłożyste drzewa w cieniu, których można się schronić przed palącym słońcem. W życiu bardzo dużo zawdzięczam ukochanej żonie. Wcześniej i teraz, to dzięki żonie wychodzę z domu, korzystam z uroków pobliskich lasów i stawów. Podczas leśnych spacerów można telefonem komórkowym zrobić ciekawe zdjęcia otaczającej nas przyrody. Jednak zdecydowanie wolę tradycyjny aparat fotograficzny, który niemal zawsze zabieram z sobą na każdy spacer. Zdjęcia są zapisem naszej historii a zarazem wspaniałą pamiątką. Po latach można podziwiać i porównać zmiany, które zaszły w lesie, parku. Czy drzewa są takie same, czy się zmieniły? Niektóre stare drzewa wiatr wyrwa z korzeniami inne chorują i usychają. W wędrownkach po leśnych duktach napotykamy powalone kłody zwalonych drzew, ale wiem, że wszystkie przeszkody można pokonać, nawet te ży-

ciowe. My już nie rośniemy tak jak drzewa, ale zmieniamy się, a nawet chorujemy.

Chorzy na stwardnienie rozsiane 30 maja obchodzą Światowy Dzień SM, który został ustanowiony przez Międzynarodową Federację Stwardnienia Rozsianego. Nie tylko tego dnia, ale na co dzień, warto zastanowić się nad losem chorych na SM. Tegoroczny temat obchodów: „SM. Więzy, kontakty, relacje” podkreśla rolę relacji międzyludzkich, jako elementu radzenia sobie z chorobą i walki z różnymi przeciwnościami. Stwardnienie rozsiane (SM) to nie jest wyrok, to nieuleczalna choroba neurologiczna o różnorodnych objawach. Jeśli wyjdziemy z domu mamy szansę faktycznie nawiązać więzi z przyrodą, nawiązać kontakty, a nawiązanie relacji międzyludzkich to nieodzowna potrzeba i część ludzkiego życia. ■





Autorzy: Kazimiera i Wojciech Zielińscy



#PolandWillWait